WARSZAWA

Co dalej z Warszawskim Szpitalem Południowym? Będzie nowa rada nadzorcza

STR. 3



FOT. PAP/PIOTR NOWAK

SPORTOWY 24

Faza grupowa przyniosła już wiele niespodzianek. Kto wybija się na faworyta?

STR. 19–21



dziś SPORTOWY24

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 22.06.2026
Nr 50 (2561)

Cena
6,00 zł (w tym 8% VAT)

Informacje z Kraju i ze Świata
www.i.pl

NR ISSN 1898-3081
NR INDEKSU 349-682



FOT. HANDOUT/AFP/EAST NEWS

Jeden odebrany, trzy zwrócone

Tak źle między Polską a Ukrainą jeszcze nie było. Trzej byli prezydenci Ukrainy oddali swoje Ordery Orła Białego na znak solidarności z Wołodymyrem Zełenskim STR. 4

POZNAŃ

Czy hasło ważnego buntu może być prywatną własnością?

STR. 6–7

ŁÓDŹ

Łódzkie włókniarki były zmęczoną twarzą tego miasta

STR. 8–9

FILM

„Alternatywy 4", czyli sąsiedzki tygiel rodem z PRL

STR. 13

HISTORIA

Konflikt wawelski, czyli wędrówki trumny Marszałka

STR. 17

eprasa.pl e3d9949b34

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa **12 312 53 88**
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W piątek **magazyn Puls**

Stosunki polsko-ukraińskie nigdy nie były tak złe. A w tym tygodniu zaplanowano w Gdańsku wielką konferencję o odbudowie Ukrainy



Arlena Sokalska
redaktor naczelna „Polski"

NA ZŁOŚĆ RZĄDOWI, ODMROŻĘ SOBIE USZY

Piątkowa decyzja prezydenta Karola Nawrockiego o odebraniu Orderu Orła Białego Wołodymyrowi Zełenskiemu była jak rzucenie kamienia ze szczytu. Lawina ruszyła i już nie można jej zatrzymać. Trzech byłych prezydentów Ukrainy: Leonid Kuczma, Wiktor Juszczenko i Petro Poroszenko już zrzekło się przyznanych im orderów, od wielu innych urzędników i polityków napływają inne ordery.

To naprawdę było niepotrzebne, zwłaszcza że radość popłynęła głównie z Kremla. Dmitrij Miedwiediew, były prezydent Rosji, obecnie główny propagandysta Kremla napisał nawet o „degeneracie z Kijowa". Z całą pewnością w piątek wieczór strzelały w Moskwie korki od szampanów.

Bo ten gest prezydenta Nawrockiego ma długofalowe skutki. Po pierwsze w takiej sytuacji urażony nie poczuł się sam Wołodymyr Zełenski, ale wszyscy Ukraińcy. Zwłaszcza że order miał być właśnie dla nich, to w ich imieniu przyjmował go prezydent Ukrainy.

Ale nawet nie to jest najgorsze. I nie jest najgorsze to, że kawalerami orderu (o czym oczywiście wspomniał prezydent Zełenski, oddając odznaczenie) wciąż są caryca Katarzyna, Benito Mussolini, Aleksander Suworow (ten od rzezi Pragi) i wiele innych osób, co lepiej byłoby przemilczeć, ale w tej sytuacji się nie da.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że prezydent Nawrocki uruchomił całą tę lawinę w konkretnym dniu i konkretnym celu: by zasabotować organizowaną przez rząd - wspólnie ze stroną ukraińską - konferencję dotyczącą odbudowy Ukrainy (Konferencja Odbudowy Ukrainy - Ukraine Recovery Conference 2026). Nie wiadomo, czy w tej sytuacji pojawi się w Gdańsku Wołodymyr Zełenski, a jego nieobecność z pewnością obniży rangę tej imprezy.

Czyli zamysł taki: zrujnować stosunki polsko-ukraińskie, budowane z wysiłkiem przez ostatnie prawie 30 lat, by dopiec rządowi i Donaldowi Tuskowi.

Na złość rządowi odmrożę sobie uszy.

Bo powiedzcie mi Państwo, czy po tej decyzji prezydenta Nawrockiego jest możliwe jakiekolwiek spotkanie czy rozmowa z obecnym prezydentem Ukrainy?

Wojny kolonialne kończą się dopiero wtedy, gdy agresor dojdzie do wniosku, że nie jest w stanie odzyskać swojej byłej kolonii za akceptowalny koszt. Myślę, że zbliżamy się do tego celu

Radosław Sikorski, wicepremier, szef MZS

MÓJ BÓL NIE JEST WIĘKSZY NIŻ TWÓJ



Maciej Sandecki
publicysta

Twój ból jest lepszy niż mój" - to tytuł znanej piosenki autorstwa Kazika Staszewskiego, która stała się hitem w okresie pandemii covidu. Przypomnijmy, że utwór był krytyką zachowania prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, któremu specjalnie pozwolono na odwiedziny grobów bliskich na cmentarzu, choć w tym czasie cmentarze były zamknięte dla „zwykłych obywateli".

Choć utwór Kazika dotyczył konkretnej sprawy i wpisał się w polityczny kontekst ówczesnych czasów, to jego przesłanie ma wymiar uniwersalny. Jest przede wszystkim krytyką nierównego traktowania obywateli przez władzę. To piosenka o przywilejach władzy, nierówności wobec prawa i poczuciu niesprawiedliwości społecznej. Nic dziwnego więc, że władza zareagowała wówczas na piosenkę alergicznie i unieważniła Listę Przebojów Trójki, gdy utwór trafił na pierwsze miejsce. Tytuł tego utworu można jednak interpretować do zupełnie innych sytuacji. Na przykład z mijającego tygodnia.

A dowiedzieliśmy się w tym tygodniu m.in., że pewien 28-letni lekarz z Warszawy i radny dzielnicowy KO, jeszcze bez specjalizacji, zarobił w szpitalu w ciągu roku astronomiczne 1,6 mln zł. Lekarza już wyrzucono z Koalicji Obywatelskiej, zwrócił pół miliona złotych i wszczęto w tej sprawie prokuratorskie dochodzenie. To dobrze, że władza zareagowała natychmiast, niemniej jednak mieliśmy tu do czynienia z sytuacją, gdzie wręcz dosłownie można by zaśpiewać piosenkę - „Twój ból jest lepszy niż mój".

Kolejny przykład z tego tygodnia. Znany nacjonalista i prowokator Robert Bąkiewicz, wraz z grupą swoich zwolenników udał się do Berlina, gdzie chcieli ustawić krzyż przy pomniku ofiar II wojny. Nie mieli zgody na tę manifestację, policja zareagowała siłą, a uczestnicząca w całej awanturze Telewizja Republika relacjonowała wszystko i wypisywała na swoich paskach, że „Niemcy zaatakowali niosących krzyż".

Nie mam cienia wątpliwości, że była to wymyślona polityczna prowokacja, której celem było utrudnienie podpisania tego samego dnia polsko-niemieckiej umowy wojskowej, zakładającej ściślejszą współpracę w obliczu rosyjskiego zagrożenia. Nie kryli zresztą tego potem politycy PiS, którzy sprowokowaną przez Bąkiewicza awanturę, wykorzystywali do atakowania wicepremiera Kosiniaka-Kamysza za podpisanie tej umowy. Biadolili nad bólem Bąkiewicza skutego przez niemiecką policję, zapominając zupełnie, że tenże Bąkiewicz został kiedyś skazany za poturbowanie aktywistki znanej jako Babcia Kasia, nawoływał do traktowania inaczej myślących napalmem i generalnie jest znanym, neonazistowskim hejterem. „Ale jego ból jest lepszy niż twój".

Na koniec Ukraina. Od tygodni w polskich mediach toczy się dyskusja o UPA, rzezi wołyńskiej i generalnie trudnej historii relacji polsko-ukraińskich. Hejt na Ukraińców leje się w internecie i na stadionach, dwa dni temu podpalono ukraińską restaurację, a napięte już wcześniej stosunki stały się jeszcze bardziej napięte. I znów można by zaśpiewać piosenkę o tym, czyj ból jest ważniejszy. Dyskutując o UPA i dokonanych przez nią masowych mordach na Polakach ponad 80 lat temu, nie zapominajmy, że nasz ból związany z tamtymi wydarzeniami, nie jest lepszy niż ból Ukraińców, którzy teraz, dzień w dzień giną na froncie. Nie jest lepszy niż ból ukraińskich kobiet i dzieci, na których domy codziennie spadają ruskie bomby. Nie stawiajmy naszego bólu ponad ból innych, bo nie mamy nawet pojęcia, jak może być bolesny. A wroga mamy tego samego - imperialistyczną Rosję Putina.

SZPITALNE ELDORADO



Marek Mazurkiewicz
publicysta, politolog

Prawie 1,6 miliona zł wpływów z działalności gospodarczej, 56,4 tys. zł z tytułu umowy zlecenia i 17,2 tys. zł z tytułu umowy o pracę, do tego 38,7 tys. zł z tytułu diety radnego. Łącznie daje to ponad 1,71 mln zł, czyli prawie 143 tys. zł miesięcznie i niemal 4750 zł dziennie.

Nie - to nie dochód firmy zajmującej się usługami czy produkcją. To kwota, która według opublikowanego oświadczenia majątkowego wpłynęła w ciągu roku do jednego z radnych Rady Dzielnicy Ursus, pracującego jednocześnie w warszawskich szpitalach jako anestezjolog. Ten 29-letni lekarz w trakcie specjalizacji dorobił się już mieszkania wartego prawie milion złotych, zgromadził ponad 700 tys. zł oszczędności i w 2025 r. kupił nowe Porsche Panamera, którego wartość z łatwością przekracza pół miliona złotych.

Dla porównania w tym roku poziom płacy minimalnej wynosi 4806 zł. Według szacunków Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej w maju tego roku ok. 2,1 mln osób pobierało takie wynagrodzenie. Przekładając to na liczbę wyborców, którzy brali udział w wyborach w październiku 2023 r., możemy powiedzieć, że to niemal 10 proc. wszystkich głosujących. Jeśli zestawimy jego roczne wpływy z wynagrodzeniem osoby otrzymującej płacę minimalną, okaże się, że na podobną kwotę musiałaby pracować przez ponad 29 lat.

Takie zestawienia mogą budzić irytację. Społecznie akceptujemy fakt, że zarobki lekarzy, zwłaszcza anestezjologów, powinny być godziwe, ale te „kosmiczne" kwoty rodzą pytania, czy zarobki powinny być aż tak wysokie i czy w ogóle da się pracować bez wytchnienia. Bo jak ustaliły media, lekarz-radny nie dość, że tylko w jednym szpitalu przepracował w ubiegłym roku 3976 godzin, co daje średnio 330 godzin miesięcznie, a więc 11 godzin każdego dnia roku, także w niedziele i święta, to dodatkowo był aktywny politycznie i często pojawiał się w mediach i to w czasie, kiedy miał pełnić szpitalny dyżur.

Ta historia pokazuje paradoks polskiej ochrony zdrowia. W systemie, który pacjentom kojarzy się z kolejkami, stale przekraczanymi limitami, brakami kadrowymi i chronicznym niedoborem pieniędzy, niektórzy potrafią odnaleźć prawdziwe Eldorado.

eprasa.pl e3d9949b34

CO DALEJ ZE SZPITALEM POŁUDNIOWYM

Prawdopodobnie w poniedziałek zostanie formalnie wybrana nowa rada Warszawskiego Szpitala Południowego - poinformował stołeczny ratusz

Adam Kielar

Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski zadecydował, że Warszawski Szpital Południowy będzie miał nową, odpolitycznioną radę nadzorczą. Ta decyzja jest już realizowana. Są wyznaczone nowe osoby do rady - autorytet w dziedzinie systemu ochrony zdrowia i urzędnicy" - przekazał stołeczny ratusz.

Przypomniał, że w piątek kandydaci zostali zatwierdzeni przez prezydenta Rafała Trzaskowskiego. „Aby sformalizować powołanie nowej rady, jej przyszli członkowie składają wymagane dokumenty, w tym zaświadczenie z Krajowego Rejestru Karnego. Gdy tylko je dostarczą, najprawdopodobniej w poniedziałek, nowa rada zostanie formalnie wybrana" - podał warszawski ratusz.

O tym, że zostanie powołana nowa rada nadzorcza Warszawskiego Szpitala Południowego, Rafał Trzaskowski informował w piątek. Od września 2025 r. w jej skład (według informacji na stronie placówki) wchodzili: Robert Kempa (przewodniczący), Karolina Witkowska, Aldona Machnowska-Góra (wiceprezydent Warszawy) i Jerzy Sieńko.

Prezydent Warszawy zapowiedział też zmiany w miejskich spółkach medycznych. Nastąpią one w czerwcu. - Nie będzie w nich polityków - podkreślił.

W czwartek dotychczasowa rada nadzorcza Szpitala Południowego na wniosek prezydenta miasta odwołała dotychczasowy zarząd placówki. Stało się to po publikacji portalu Zero.pl, który opisał sprawę lekarza Dawida Kacprzyka - jako koordynator SOR-u w Szpitalu Południowym, a także radny KO warszawskiej dzielnicy Ursus miał w trakcie specjalizacji z anestezjologii zarobić w ubiegłym roku 1,6 mln zł. Na prowadzonym przez Kacprzyka oddziale politycy Koalicji Obywatelskiej mieli być przyjmowani bez kolejki, a kompleksowe badania miały być im wykonywane niemal bezpośrednio po dokonaniu przez nich rejestracji. W Szpitalu Południowym trwają kontrole prowadzone przez stołeczny ratusz i Narodowy Fundusz Zdrowia. Sprawę opisywanych w lecznicy nieprawidłowości bada prokuratura. Toczy się też postępowanie Naczelnej Izby Lekarskiej.



FOT. PAP/PIOTR NOWAK

Prezydent Warszawy zapowiedział też zmiany w miejskich spółkach medycznych

Prokurator generalny Waldemar Żurek zapowiedział, że prokuratura zbada, czy Rafał Trzaskowski wiedział o nieprawidłowościach w szpitalu. Oprócz miejskich urzędników, prokuratorów i urzędników NFZ placówkę prześwietli także PIP.

Lekarz Dawid Kacprzyk, radny Koalicji Obywatelskiej w warszawskiej dzielnicy Ursus, zrezygnował z mandatu. Jak poinformował stołeczny ratusz, oddał on także pieniądze za część faktur. Urząd odniósł się także do doniesień dotyczących specjalnego saloniku VIP, który miał funkcjonować w Szpitalu Południowym. Po południu prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski zdecydował o odwołaniu zarządu placówki.

„Na konto szpitala Dawid Kacprzyk zwrócił znaczną część wypłaconych mu środków" - poinformował w komunikacie Urząd m. st. Warszawy.

Ponadto, jak poinformowała wiceprzewodnicząca klubu Koalicji Obywatelskiej w radzie Warszawy Anna Auksel-Sekutowicz, Kacprzyk zrezygnował z mandatu radnego stołecznej dzielnicy Ursus.

Według opublikowanego niedawno oświadczenia majątkowego, zarobił on w 2025 roku około 1,6 mln złotych. Dodatkowo, mimo, iż był wpisywany na dyżury, często w ich czasie zajmował się działalnością polityczną, albo chodził do mediów.

We wcześniejszym komunikacie warszawskiego ratusza jest także odniesienie do sprawy swoistego „saloniku VIP", który miał funkcjonować w Szpitalu Południowym.

„Dodatkowo wyjaśniamy - Szpitalny Oddział Ratunkowy Warszawskiego Szpitala Południowego nie dysponuje specjalnym pokojem VIP . Z dotychczasowych ustaleń wynika, że Dawid Kacprzyk miał dostęp do pomieszczenia, które należało do przyszpitalnego Warszawskiego Centrum Chirurgii Kręgosłupa. Wynika z nich także, że lekarz wykorzystywał je samowolnie" - czytamy w oświadczeniu.

PAP

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

0011541245

Miliardy na energetykę. ORLEN szuka partnerów do nowych inwestycji

Jakie szanse stoją przed polskimi przedsiębiorcami w związku z transformacją energetyczną? O tym rozmawiano podczas sesji warsztatowej „ORLEN – Energetyka w praktyce: inwestycje, zakupy i łańcuchy dostaw", zorganizowanej w ramach Forum Energia z Polski Local First na Uniwersytecie Rzeszowskim. Przedstawiciele koncernu omówili plany inwestycyjne, zasady współpracy z dostawcami oraz procedury zakupowe obowiązujące w ORLENIE.

Inwestycje warte miliardy złotych

Warsztaty były okazją do bezpośredniego dialogu między przedstawicielami spółki a przedsiębiorcami zainteresowanymi udziałem w projektach realizowanych przez największy koncern energetyczny w Polsce.

Grupa ORLEN planuje przeznaczyć do 2035 roku blisko 20 mld zł na działania związane z dekarbonizacją. Oznacza to nie tylko rozwój nowych technologii, ale także liczne możliwości dla firm wykonawczych i dostawców.

Jednym z przykładów jest proces wygaszania elektrowni węglowej w Ostrołęce. Koncern będzie poszukiwał partnerów do realizacji prac rozbiórkowych oraz rekultywacji terenów poprzemysłowych. Równocześnie wzrośnie zapotrzebowanie na dostawców technologii niskoemisyjnych i zeroemisyjnych, takich jak bloki gazowo-parowe, silniki gazowe, kotły elektrodowe, pompy ciepła, instalacje biomasowe czy geotermalne.

Ponad 4,5 tysiąca postępowań zakupowych rocznie

Skala zakupów realizowanych przez Grupę ORLEN robi wrażenie. Koncern obsługuje około 800 kategorii zakupowych, a tylko w 2025 roku Biuro Zakupów ORLEN S.A. przeprowadziło ponad 4,5 tysiąca postępowań.

– Polityka zakupowa opiera się na kilku istotnych filarach. Przede wszystkim na zrównoważonym rozwoju, ochronie środowiska, poszanowaniu praw pracowniczych, a także na zarządzaniu dostawcami i partnerskiej współpracy. Ważnym elementem jest również współdziałanie w ramach grupy kapitałowej i wykorzystywanie efektów synergii. Postępowania zakupowe prowadzimy w oparciu o konkurencyjność i profesjonalizm. To podstawowe założenia naszej polityki zakupowej – podkreślał Krzysztof Kraszewski, kierownik projektu w zespole zakupów strategicznych projektów inwestycyjnych ORLEN.



Transparentność i najwyższe standardy

O zasadach współpracy z dostawcami mówił Tomasz Ostojski, kierownik zespołu zakupów inwestycyjnych.

– Bardzo zależy nam na budowaniu długofalowych relacji z dostawcami. Chcemy, aby współpraca opierała się na najwyższych standardach etycznych. Kierujemy się zasadami zapisanymi w Kodeksie Etyki ORLENU i oczekujemy, że nasi partnerzy biznesowi będą postępować podobnie. Oznacza to m. in. akceptację polityki postępowania dla dostawców oraz pełną zgodność z obowiązującymi politykami, w tym sankcyjnymi – zaznaczył.

Przedstawiciel koncernu podkreślił również znaczenie przejrzystości procedur zakupowych. Każde postępowanie prowadzone jest według jasno określonych kryteriów oceny.

Oferty przechodzą wieloetapową weryfikację obejmującą analizę formalną, finansową i m.in. sankcyjną. Oceniana jest również zdolność wykonawcy do realizacji projektu, doświadczenie, referencje, certyfikaty oraz potencjał techniczny. Dopiero później analizowane są kwestie handlowe, w tym cena oraz warunki kontraktowe.

ORLEN w tym roku rozpoczął także cykl konferencji „Partnerzy Energii Jutra" skierowany do przedsiębiorców, którzy chcą rozpocząć współpracę z koncernem. W trakcie spotkań dla poszczególnych sektorów omawiane są zasady współpracy, a także plany inwestycyjne.

Local content i krótsze łańcuchy dostaw

Istotnym elementem warsztatów była prezentacja dobrych praktyk związanych z polityką local content. Agnieszka Roszczyk, kierownik ds. local content, wyjaśniła, że ORLEN wdrożył rozwiązania wspierające udział europejskich i krajowych przedsiębiorstw w procesach zakupowych.

– Do naszej instrukcji zakupowej wprowadziliśmy regulację, zgodnie z którą – po przeprowadzeniu analizy biznesowej – możemy wykluczyć z postępowań podmioty z państw trzecich, czyli spoza Unii Europejskiej oraz krajów nieobjętych porozumieniem GPA Światowej Organizacji Handlu – powiedziała.

Tomasz Ostojski zwracał uwagę, że ORLEN stosuje również rozwiązania ułatwiające udział polskich przedsiębiorców w postępowaniach.

– Dopuszczamy tworzenie konsorcjów ubiegających się o zamówienia. Tam, gdzie jest to możliwe, wykorzystujemy dokumentację w języku polskim. Postępowania prowadzimy wieloetapowo, między innymi z wykorzystaniem procedury RFI. Do etapu składania ofert zapraszamy wyłącznie firmy, które pozytywnie przeszły ocenę techniczną – wyjaśniał.

Jak podkreślali przedstawiciele spółki, jednym z celów biznesowych ORLENU jest skracanie łańcuchów dostaw. Z tego względu szczególnie cenieni są partnerzy zapewniający szybki serwis oraz lokalną dostępność części zamiennych i komponentów.

Pierwszy krok? Rejestracja na platformie Connect

Warsztaty podsumował Roman Kowszewicz, dyrektor wykonawczy ds. zakupów, który zachęcał przedsiębiorców do aktywnego korzystania z platformy zakupowej Connect.

– Na tej platformie publikowane są przetargi w ponad 60 spółkach z Grupy ORLEN. To jedno miejsce, w którym można znaleźć informacje o aktualnych i planowanych zakupach oraz przejść cały proces zakupowy. Rejestracja jest pierwszym krokiem

eprasa.pl e3d9949b34

DECYZJA NAWROCKIEGO I KRYZYS DYPLOMATYCZNY, JAKIEGO NIE BYŁO

Byli prezydenci Ukrainy na znak solidarności z Wołodymyrem Zełenskim odsyłają Karolowi Nawrockiemu Ordery Orła Białego, członkowie ukraińskiej administracji inne polskie odznaczenia. A światowe media piszą o „poważnym kryzysie dyplomatycznym" między sąsiadami kilka dni przed konferencją na temat odbudowy Ukrainy

Dorota Kowalska



FOT. HTTPS://X.COM/ZELENSKYYUA

Order Orła Białego Wołodymyr Zełenski odesłał Karolowi Nawrockiemu pocztą, co też jest pewnym symbolem

Takiego kryzysu w relacjach polsko-ukraińskich nie było od lat, a wszystko w przeddzień zaczynającej się pod koniec tygodnia Konferencji na rzecz Odbudowy Ukrainy, która odbędzie się w Gdańsku. Miał się na niej pojawić prezydent Wołodymyr Zełenski, czy się pojawi, nie wiadomo. Wiadomo, że swoją obecność zapowiedzieli europejscy przywódcy i zapewne na spotkaniu będą dyskutować nie tylko o Ukrainie, ale także o ostatniej decyzji prezydenta Nawrockiego i o tym, co ta za sobą pociągnęła.

Karol Nawrocki poinformował w piątek, że odbiera Wołodymyrowi Zełenskiemu Order Orła Białego. Wcześniej prezydent Ukrainy wyraził zgodę na nadanie jednej z jednostek Sił Zbrojnych Ukrainy nazwy „Bohaterów UPA". Jak podkreślił Nawrocki, decyzja została podjęta po konsultacji z Kapitułą Orderu Orła Białego.

Prezydent zaznaczył, że odebranie odznaczenia „nie jest aktem wymierzonym przeciwko narodowi ukraińskiemu" i „nie oznacza zmiany strategicznego kierunku polskiej polityki bezpieczeństwa". Dodał również, że „nic się nie zmieniło" w kwestii wsparcia Ukrainy w walce z Rosją.

- Jesteśmy dumnym narodem polskim i mamy swój próg bólu w sprawach, które dotyczą nas i naszych sojuszników. Ten próg bólu został przekroczony, dlatego odebrałem prezydentowi Zełenskiemu Order Orła Białego - mówił Karol Nawrocki dzień później, w sobotę, w czasie Narodowego Dnia Powstań Śląskich w Grabówce. - Nas Polaków nie trzeba uczyć tego, czym jest wojna, nam nie trzeba przypominać o tym, jak wygląda wojna, jak wyglądają totalitaryzmy, ten niemiecki i ten sowiecki. Nam nie trzeba mówić, z jakimi konsekwencjami wiąże się wojna z postsowiecką Federacją Rosyjską, bo gdy myślimy o wspólnocie narodowej właśnie tak, to w wieku XX byliśmy wolni tylko przez 31 lat. Prezydent państwa odpowiada za przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Prezydent też jest od tego, aby mówić głosem tych, których już nie ma i którzy nie mogą przemawiać - podkreślał Karol Nawrocki.

Na odpowiedź Zełenskiego nie trzeba było długo czekać.

„Uważaliśmy, że to właśnie narodowi ukraińskiemu i naszej armii był adresowany w 2023 roku Order Orła Białego. Tak wtedy mówiono. Dziś odesłałem Order panu prezydentowi Polski" - napisał Zełenski na portalach społecznościowych. I zapewnił, że jego kraj jest wdzięczny narodowi polskiemu za wsparcie i współpracę, co - jak zaznaczył - odgrywa znaczącą rolę w walce o ukraińską i polską niezależność od Rosji.

„Ukraina nigdy nie zapomina o solidarności i wie, że współpraca między krajami i narodami w naszym regionie jest jedną z najważniejszych gwarancji bezpieczeństwa i dla Ukraińców, i dla każdego sąsiedniego państwa" - oświadczył Zełenski.

Zauważył, że najważniejsze polskie odznaczenie państwowe nie zostało odebrane Benito Mussoliniemu czy Gerharhardowi Schroderowi. Jego Orderem Orła Białego odznaczył prezydent Andrzej Duda.

„Wierzę, że przyszłość potwierdzi, że Ukraińcy zasługują na szacunek" - zakończył ukraiński przywódca.

Order Orła Białego Zełenski odesłał Nawrockiemu pocztą, co też jest pewnym symbolem.

Murem za Zełenskim stanęli inni ukraińscy politycy i wojskowi.

Jako pierwszy zwrot Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej zapowiedział minister spraw zagranicznych Ukrainy Andrij Sybiha, odznaczony nim w 2022 roku.

W jego ślady poszli szef Biura Prezydenta Ukrainy Kyryło Budanow oraz ambasador Ukrainy w Polsce Wasyl Bodnar, którzy zrzekli się Krzyża Oficerskiego Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

Decyzję o zwrocie Orderu Orła Białego ogłosili byli prezydenci Ukrainy: Leonid Kuczma, Wiktor Juszczenko i Petro Poroszenko.

Wszyscy podkreślali, że rezygnacja z odznaczenia jest odpowiedzią na decyzję polskiego prezydenta, ale w żadnym stopniu nie jest wymierzona w naród polski, że odznaczenie zostało wręczone nie tylko konkretnej osobie, ale przede wszystkim stało się symbolem szacunku dla narodu ukraińskiego, który płaci wysoką cenę za swoją wolność i niepodległość.

Najostrzej zareagował Leonid Kuczma. „Nie po to Ukraina stanęła do konfrontacji z Rosją, która uzasadniała swoją inwazję roszczeniami historycznymi, żeby dziś inne państwa dyktowały nam naszą historię i decydowały, kogo mamy czcić" - oświadczył za pośrednictwem swojej fundacji.

Ostatni krok Karola Nawrockiego i reakcje strony ukraińskiej nie umknęły uwadze światowych mediów.

„Jerusalem Post" ocenił, że decyzja prezydenta Polski Karola Nawrockiego prawdopodobnie wywoła „poważny kryzys dyplomatyczny" między sąsiadami kilka dni przed konferencją na temat odbudowy Ukrainy.

Podobne spostrzeżenia czyni niemiecka stacja DW.

„Nawrocki podjął decyzję zaledwie kilka dni przed tym, jak Polska ma być gospodarzem dorocznej konferencji na rzecz Odbudowy Ukrainy w Gdańsku. Nie jest teraz jasne, czy Zełenski weźmie w niej udział" - zauważyła DW.

Francuski dziennik „Le Monde" podkreśla, że Polska jest jednym z głównych sojuszników Ukrainy w jej walce z rosyjską inwazją, jednak „spory o pamięć o II wojnie światowej historycznie nadwyrężyły relacje między Kijowem a Warszawą".

Stacja BBC przypomniała, że „wielu w Ukrainie uważa UPA za bohaterów walczących o niepodległość Ukrainy przeciwko Armii Czerwonej, nazistowskim Niemcom i władzom polskim, (...) jednak Polska oskarża UPA o dokonanie ludobójstwa na Polakach na Wołyniu (obecnie Wołyń w Ukrainie - red.) w latach 1943-1945".

Chiński dziennik „South China Morning Post" pisze z kolei, że spory na tle historycznym między Kijowem a Warszawą ustały w momencie, gdy władzę przejął rząd Donalda Tuska. Dziennikarze gazety ocenili jednak, że decyzja prezydenta Nawrockiego może doprowadzić do „eskalacji konfliktu".

Pewnie tak, bo dzisiaj nikt tak naprawdę nie jest w stanie przewidzieć, co wydarzy się w ciągu najbliższych dni. Wiadomo jedno - decyzja Karola Nawrockiego zachwyciła Kreml.

„Polski prezydent nareszcie odebrał Order Orła Białego sławiącemu nazistów degeneratowi z Kijowa. Myślę, że nie będzie to problemem dla szefa banderowców - będzie więcej miejsca na jego zielonej bluzie na hitlerowski Krzyż Żelazny" - napisał były prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew.

Wtórował mu Kirił Dmitijew, doradca Władimira Putina i jego specjalny wysłannik w rozmowach z USA o wojnie w Ukrainie.

„Polska w końcu odkrywa sympatyków nazistów na Ukrainie" - stwierdza.

W swojej propagandzie Kreml uzasadniał rozpoczęcie „specjalnej operacji wojskowej" w Ukrainie walką z nazistami, którymi mają być Ukraińcy broniący się przed inwazją. Zarzut ten był wielokrotnie wyśmiewany, zwłaszcza w odniesieniu do prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, który ma żydowskie korzenie.

Polscy politycy decyzję Nawrockiego oceniają różnie. Wśród tych z koalicji rządzącej panuje przekonanie, że miała ona przede wszystkim utrudnić życie polskiemu rządowi, osłabić jego pozycję przed gdańską konferencją, wiadomo, że będzie na niej walka o kontrakty na odbudowę Ukrainy, i wciągną premiera w pewną grę. Jaką? Jak mówią niektórzy politycy KO, Pałac Prezydencki zakładał, że Donald Tusk stanie w obronie Zełenskiego i wtedy można mu będzie zarzucić, że sprzyja już nie tylko Niemcom, ale i Ukrainie. Premier w pułapkę wciągnąć się jednak nie dał.

„Zadaniem prezydentów Zełenskiego i Nawrockiego jest tonowanie emocji, a nie podsycanie napięcia. Linia frontu przebiega gdzie indziej" - podkreślił Donald Tusk w swoim wpisie na platformie X.

Europosłanka KO Kamila Gasiuk-Pihowicz zauważyła: „Nie miał odwagi jako prezydent odwiedzić Kijowa. Może teraz znajdzie odwagę i pojedzie po ten order?".

W podobnym tonie sprawę komentuje poseł KO Artur Łęcki. „Przez parę lat był prezesem Instytutu Pamięci Narodowej. A zachowuje się jak były prezes Instytutu Zemsty Narodowej" - czytamy.

Prawica, co też nie jest niespodzianką, chwali ruch Nawrockiego. Kandydat na premiera PiS Przemysław Czarnek podkreślił, że „relacje międzynarodowe nie mogą odbywać się kosztem własnej tożsamości i historii", a „partnerstwo z Ukrainą ma sens wyłącznie wtedy, gdy opiera się na wzajemnym szacunku, a nie selektywnej pamięci".

„Słuszna decyzja! Nie będzie najwyższego polskiego odznaczenia dla kogoś, kto gloryfikuje zbrodniarzy z UPA i depcze pamięć Ofiar Wołynia. Polska ma swoją godność - nigdy nie klęka" - to Jacek Sasin.

Lider Konfederacji Sławomir Mentzen napisał krótko:. „Brawo Panie Prezydencie! Szkoda, że tak późno ;)".

Sprawę skomentował też wicepremier, szef MON, Władysław Kosiniak-Kamysz.

„Wielu Polaków zastanawia się teraz, jak będą wyglądać nasze relacje z Ukrainą. Robią to zarówno ci, którzy wspierają sąsiada od początku wojny i uważają, że tak trzeba. Zapewne robią to też ci, którzy twierdzą, że pomoc jest niepotrzebna, a wszyscy Ukraińcy powinni wrócić do siebie" - napisał.

Słuszna uwaga, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że w Polsce mieszka dzisiaj jakieś półtora miliona Ukraińców.

PAP

eprasa.pl e3d9949b34

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

0011541658

ORLEN i Centrum Nauki Kopernik łączą siły, aby rozwijać polską naukę

Debata o znaczeniu nauki dla społeczeństwa i gospodarki oraz specjalne wystąpienie wideo astronauty Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego były najważniejszymi punktami wydarzenia, które 16 czerwca oficjalnie zainaugurowało współpracę ORLENU i Centrum Nauki Kopernik. Partnerstwo obu instytucji ma wspierać edukację naukową, popularyzację wiedzy oraz dialog między nauką, biznesem a społeczeństwem.



ORLEN i Centrum Nauki Kopernik – wspólna misja

W ramach nawiązanej współpracy ORLEN został Mecenasem Głównym Centrum Nauki Kopernik, Wyłącznym Partnerem Planetarium, a także Głównym Partnerem ogólnopolskiego programu edukacyjnego dla dzieci i młodzieży „Przyszłość. Podaj dalej". Celem partnerstwa jest wzmacnianie potencjału miejsca, które komunikuje naukę jako dziedzinę dostępną dla każdego, opartą na ciekawości, zadawaniu pytań i chęci zrozumienia świata.

– *Nauka pomaga rozumieć świat, rozwija kreatywność i otwiera drzwi do przyszłości. Dlatego konsekwentnie inwestujemy w projekty, które inspirują dzieci i młodzież do odkrywania, zadawania pytań i zdobywania nowych kompetencji. Współpraca z Centrum Nauki Kopernik to dla nas naturalny krok – chcemy wspólnie pokazywać, że nauka może być fascynująca, dostępna i obecna w codziennym życiu młodych ludzi* – mówi **Sylwia Snopkiewicz, Dyrektor Wykonawcza ds. Sponsoringu ORLEN.**

Współpraca z Centrum Nauki Kopernik wpisuje się w strategię ORLENU, która zakłada rozwój działań wspierających naukę obok aktywności realizowanych w kulturze, sporcie i obszarze społecznym.

W trakcie inauguracyjnego spotkania w Planetarium podkreślano, że rozwój zaczyna się od ciekawości i poszukiwania odpowiedzi na najważniejsze pytania. To właśnie tę ideę realizuje Centrum Nauki Kopernik poprzez interaktywne wystawy, eksperymenty i działania edukacyjne angażujące odbiorców w samodzielne odkrywanie praw rządzących światem.

Swoimi refleksjami na temat odkrywania nowych możliwości podzielił się również Sławosz Uznański-Wiśniewski – astronauta Europejskiej Agencji Kosmicznej i pierwszy Polak, który przebywał na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. W specjalnie przygotowanym video dla gości podkreślił znaczenie ambitnych projektów badawczych oraz budowania zainteresowania nauką już od najmłodszych lat. Zwrócił także uwagę na istotną rolę, jaką do odegrania ma biznes inwestując w naukę.



Debata o przyszłości nauki i innowacji

Istotnym elementem wydarzenia była debata „Nauka dla każdego. Jak sprawić, by nauka stała się częścią życia i gospodarki?" z udziałem przedstawicieli świata nauki, biznesu i edukacji.

Uczestnicy zwrócili uwagę, że mimo licznych sukcesów polskich badaczy, nauka nadal często pozostaje poza obszarem codziennych doświadczeń wielu osób. Podkreślali, że do budowania zainteresowania i zaufania potrzebne są: dialog, zrozumiały język oraz możliwość bezpośredniego kontaktu z nauką.

Robert Firmhofer wskazał, że jednym z kluczowych wyzwań jest zrozumienie źródeł nieufności wobec nauki oraz budowanie trwałych relacji między społeczeństwem a środowiskiem badawczym. Jego zdaniem instytucje naukowe powinny nie tylko przekazywać wiedzę, ale także rozwijać kulturę ciekawości, otwartości i gotowości do zmian.

Popularyzacja nauki dla wszystkich

Dyrektor Centrum Nauki Kopernik Robert Firmhofer w trakcie zorganizowanej debaty naukowej podkreślił, że fascynacja nauką nie powinna kończyć się na pojedynczym doświadczeniu czy wystawie. Jego zdaniem, budowanie trwałego zainteresowania wiedzą wymaga regularnego kontaktu z nauką oraz możliwości samodzielnego odkrywania świata.

Jeden z przykładów takich działań to projekt edukacyjny „Przyszłość. Podaj dalej", którego celem jest umożliwienie samodzielnego doświadczenia nauki mieszkańcom mniejszych miejscowości. Dzięki takim inicjatywom nauka może wykraczać poza mury instytucji i stawać się częścią codziennego życia.

Współpraca nauki, biznesu i społeczeństwa

Dr Milena Ratajczak z Uniwersytetu Warszawskiego odniosła się do potencjału polskiej nauki oraz potrzeby tworzenia przestrzeni do współpracy między badaczami, przedsiębiorcami i społeczeństwem. Jej zdaniem rozwój nauki wymaga nie tylko pracy naukowców, a także budowania trwałych relacji między uczelniami, biznesem i odbiorcami wiedzy.

Na znaczenie współpracy świata nauki i biznesu zwróciła uwagę również Ewa Sowińska, niezależna członkini Rady Nadzorczej ORLEN. Podkreśliła, że nowoczesna gospodarka opiera się na wiedzy, badaniach i innowacjach, dlatego potrzebne są miejsca łączące środowiska akademickie z przedsiębiorstwami. Wyraziła zdanie, że inwestowanie w naukę powinno być traktowane jako działanie długofalowe, przynoszące korzyści całemu społeczeństwu.

Jednym z tematów debaty była także komunikacja naukowa. Prof. Piotr Wachowiak, rektor Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, zauważył, że jednym z wyzwań pozostaje przekazywanie wiedzy w sposób zrozumiały dla osób spoza środowiska akademickiego. Jego zdaniem lepsza komunikacja może pomóc ograniczać dezinformację i budować większe zaufanie do nauki.

Innowacje i młode pokolenie

Podczas debaty poruszono również temat finansowania badań i rozwoju nowych technologii. Uczestnicy wskazywali, że innowacje wymagają stabilnego wsparcia, odpowiednich warunków do prowadzenia badań oraz współpracy różnych środowisk.

Zwrócono także uwagę na rolę młodego pokolenia w kształtowaniu przyszłości. Nowe technologie otwierają dziś ogromne możliwości, dlatego – zdaniem panelistów – równie ważne jak przekazywanie wiedzy jest zachęcanie młodych ludzi do eksperymentowania, rozwijania własnych pomysłów i aktywnego udziału w procesie tworzenia innowacji.

Wspólna przyszłość nauki, edukacji i biznesu

Inauguracja współpracy ORLENU i Centrum Nauki Kopernik pokazuje, że nauka może łączyć środowiska akademickie i biznesowe, by w ramach wspólnych działań stwarzać warunki do rozwoju innowacji oraz budowania społeczeństwa bardziej otwartego na wiedzę i przyszłe wyzwania.

Partnerstwo obu instytucji ma wspierać popularyzację nauki i rozwój dialogu społecznego, a także inspirować kolejne pokolenia do odkrywania świata. Rozwój nauki wymaga nie tylko badań, ale również współpracy, zaufania i zaangażowania wielu stron.



eprasa.pl e3d9949b34

Polska
Poniedziałek, 22.06.2026

„ŻĄDAMY CHLEBA” ZA OPŁATĄ

Czy najświętsze hasło najważniejszego buntu w historii Poznania może być prywatną własnością? „Żądamy chleba” – malowane na transparentach w czerwcu 1956 roku widać dziś w całym Poznaniu. Na tramwaju, plakatach, citylightach, medalach biegu Poznańskiego Czerwca i na transparencie przy wystawie na Placu Kolegiackim. Córka grafika, który malował to hasło 70 lat temu, domaga się jednak pieniędzy od organizatorów akcji charytatywnej pod tym samym tytułem. Czy od pozostałych również?

Justyna Piasecka-Gabryel



FOT. ROBERT WOŹNIAK

Od lewej: Jacek Polewski, Michał Walkowiak i Tomasz Lisiecki – organizatorzy akcji z transparentem „Żądamy chleba”. Przez sześć lat zbierali pod tym hasłem pieniądze na posiłki dla potrzebujących. W tym roku akcja została wstrzymana

Poznań przygotowuje się do obchodów 70. rocznicy poznańskiego Czerwca. Od sześciu lat swoistym elementem obchodów była czerwcowa akcja „Żądamy chleba”, w której Poznaniacy mogli wpłacać pieniądze na wsparcie „Zupy na Głównym”, organizacji zajmującej się m.in. wydawaniem posiłków dla bezdomnych na poznańskim dworcu. Jednak tegoroczna akcja „Żądamy chleba”, organizowana przez Tomasza Lisieckiego, Jacka Polewskiego i Michała Walkowiaka, została zawieszona.

Powód? Córka Stanisława Nowaka, autora jednego z najbardziej rozpoznawalnych transparentów Poznańskiego Czerwca, domaga się ochrony prawnej sloganu, do którego, jak twierdzi, ma prawa. Organizatorzy odpowiadają, że nie prowadzili biznesu, tylko zbiórkę na jedzenie. Wiemy też o co najmniej jednym przypadku, gdzie wykorzystanie hasła „Żądamy chleba” zostało zablokowane przez córkę Nowaka.

Rita Nowak-Wilowska prowadzi w Poznaniu księgarnię „Sursum Corda”, która często organizuje spotkania z prawicowymi dziennikarzami, pisarzami czy politykami. Z kolei twórcy akcji „Żądamy chleba” to przewodniczący komisji rewizyjnej Stowarzyszenia Zupa na Głównym, były dziennikarz oraz poznański piekarz, który zasłynął akcją pomocy mieszkańcom Buczy, a w przeszłości był pomysłodawcą pierwszego poznańskiego Marszu Równości.

– Jeśli ktoś zyskał na tej akcji, to tylko ludzie, którzy zjedli ciepły posiłek – mówi Tomasz Lisiecki.

Strona Rity Nowak-Wilowskiej wskazuje na prawa do opracowania graficznego napisu stworzonego przez jej ojca i brak zgody na jego wykorzystanie. Organizatorzy przekonują, że akcja była społeczna.

– Zamiast zbierać pieniądze dla osób, które potrzebują ciepłych posiłków, i wspierać wolontariuszy z Zupy na Głównym, rozmawiamy o problemie, który nas dotyczy. Wolałbym zrobić coś pożytecznego – mówi Lisiecki.

Sprawa trafiła do Sądu Okręgowego w Poznaniu. Na razie nie jest to jeszcze właściwy proces o naruszenie praw autorskich, ale wniosek o zabezpieczenie przed ewentualnym pozwem. Sąd ma zdecydować, czy do czasu rozpoznania sprawy można zablokować używanie hasła albo jego graficznego opracowania w ramach akcji.

HASŁO „ŻĄDAMY CHLEBA” NIE NADAJE SIĘ DO OCHRONY PRAWNOAUTORSKIEJ. TO NIE JEST UTWÓR O INDYWIDUALNYM CHARAKTERZE

Pełnomocniczka Rity Nowak-Wilowskiej przekazuje, że jej klientka czeka na decyzję sądu i na razie nie chce szerzej komentować sprawy.

– Na razie czekamy na rozstrzygnięcie, uzupełniając stanowisko prawne i faktyczne. Pani Rita Nowak-Wilowska zaznacza jednak, że wszczęta procedura ma na celu ochronę prawną w związku z używaniem opracowania graficznego napisu stworzonego przez jej ojca, Stanisława Nowaka, do celów komercyjnych, prowadzonych pod przykrywką działań fundacji. Klientka nigdy nie wyrażała na to zgody. Trwają jednak rozmowy pełnomocników stron – informuje adwokat Justyna Engelgardt, reprezentująca Ritę Nowak-Wilowską.

Nie pozew, lecz zabezpieczenie

Pełnomocnik organizatorów akcji „Żądamy chleba”, adwokat Zbigniew Krüger, podkreśla, że decyzja sądu nie rozstrzygnie jeszcze całego sporu, ale może przesądzić, czy akcja będzie mogła działać pod dotychczaso-

eprasa.pl e3d9949b34

wym hasłem do czasu ewentualnego procesu.

– Teraz chodzi o to, czy de facto można zablokować tę akcję z użyciem tego hasła jeszcze przed wniesieniem sprawy do sądu – mówi mecenas Krüger. – Wniosek o zabezpieczenie jest po to, żeby zaprzestać określonych działań na czas trwania postępowania. Natomiast ten wniosek jest tak daleko idący, że w przypadku jego uwzględnienia blokowałby tak naprawdę wykorzystanie tego hasła i blokowałby akcję z użyciem tego hasła – ocenia mecenas.

Krüger uważa, że żądanie jest niezasadne. Jego argument dotyczy przede wszystkim samego charakteru hasła.

– Hasło „Żądamy chleba" w ogóle nie nadaje się do ochrony prawnoautorskiej. To nie jest utwór o indywidualnym charakterze. To jest hasło, które mógł wypowiedzieć każdy i którego nie można zastrzec – mówi.

Pełnomocnik organizatorów wskazuje, że hasła odwołujące się do chleba, pracy czy wolności pojawiały się w historii protestów społecznych wielokrotnie. – Takie hasła występowały podczas protestów społecznych przez setki, a być może nawet tysiące lat. W każdym proteście społecznym o podłożu ekonomicznym żądano chleba: chleba i pracy, chleba i wolności. Nie ma w tym haśle nic nowego – mówi.

Krüger podkreśla przy tym, że nie chodzi o bagatelizowanie znaczenia historycznego napisu.

– Samo hasło i jego znaczenie z punktu widzenia protestów czerwcowych są bardzo ważne. Ale jeżeli nawiązujemy do niego w tak słusznej sprawie, by pomagać potrzebującym i głodnym Poznaniakom, to nie ma mowy o naruszeniu prawa autorskiego – mówi.

Podobnie sprawę ocenia Przemysław Terlecki, dyrektor Muzeum Niepodległości w Poznaniu. Jak mówi, muzeum w rutynowej działalności podpisuje wiele umów regulujących sposób udostępniania artefaktów. W tym przypadku wskazuje dwie: jedną zawartą z państwem Nowakami w sprawie udostępnienia domowego archiwum zdjęć na potrzeby broszury o Stanisławie Nowaku, drugą – dotyczącą zgody udzielonej Jackowi Polewskiemu na wykorzystanie hasła „Żądamy chleba" w działalności charytatywnej na rzecz Zupy na Głównym.

– Co do zasady – nie możemy reglamentować czegoś, co nie podlega ochronie prawnej. A takiej ochronie nie podlega – według mojej wiedzy – ani czcionka, którą wykonywano napisy Czerwca, ani tym bardziej samo hasło, spontanicznie malowane na transparentach – mówi Terlecki.

Dyrektor muzeum dodaje, że jeśli ktokolwiek może mieć prawa do tego hasła, to robotnicy Czerwca '56. Przypomina też, że Jacek Polewski, jeden z organizatorów akcji, był jednym z pierwszych laureatów nagrody Stukot, przyznawanej dla upamiętnienia Poznańskiego Czerwca.



Archiwalne zdjęcie marszu robotników z transparentem „Żądamy chleba". Ten napis stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych symboli Poznańskiego Czerwca 1956 roku

Do kwestii używania hasła odnosi się również poznański oddział IPN. Dokumenty i zdjęcia z napisem „Żądamy chleba" są często wykorzystywane w edukacyjnej działalności instytutu, m.in. na wystawach czasowych. IPN nie spotkał się dotąd z żądaniami dotyczącymi praw autorskich do hasła widocznego na powszechnie używanych zdjęciach.

– Trudno przypisać te słowa wyłącznie do Czerwca 1956 roku, bo pojawiały się przy różnych okazjach, przy okazji różnych demonstracji – mówi Rafał Reczek, dyrektor Oddziału IPN w Poznaniu.

Jak dodaje, gdyby do IPN skierowano żądanie wycofania zdjęć z wystaw lub prezentacji, instytut by odmówił. Reczek podkreśla, że IPN prowadzi działalność naukową i niekomercyjną.

– Na pewno nie płacilibyśmy za korzystanie z posiadanych przez nas zdjęć ani nie wycofalibyśmy ich z prezentacji; w przypadku żądania takich działań zdalibyśmy się na rozstrzygnięcie sądowe – mówi Rafał Reczek.

Hasło z Czerwca i jego autor

„Żądamy chleba" jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych haseł Poznańskiego Czerwca 1956 roku. Protest zaczął się od spraw ekonomicznych: płac, norm pracy, cen i warunków życia. Robotnicy wyszli na ulice, a demonstracja przerodziła się w bunt przeciw komunistycznej władzy. Pacyfikacja pochłonęła dziesiątki ofiar, a setki osób zostały ranne.

W miejskich materiałach poświęconych Czerwcowi '56 podkreśla się rolę Stanisława Nowaka, grafika, który 28 czerwca 1956 roku miał wykonać transparenty dla protestujących. Wśród nich były napisy „Żądamy chleba", „Chcemy jeść" czy „Żądamy obniżki cen. Chcemy żyć". Transparenty zostały sfotografowane przez zagranicznych fotoreporterów obecnych w Poznaniu przy okazji Międzynarodowych Targów Poznańskich. Dzięki tym zdjęciom świat zobaczył nie tylko protest, ale też jego społeczne hasła.

Przez lata nazwisko autora transparentów nie funkcjonowało powszechnie w miejskiej pamięci. Organizatorzy akcji mówią, że kiedy zaczynali zbiórkę, informacje o autorstwie nie były jeszcze tak mocno obecne w obiegu publicznym. Później, gdy pojawiały się materiały o Stanisławie Nowaku, zaczęli odwoływać się do nich w komunikacji akcji.

– Od początku mówiliśmy, że rozmawialiśmy na temat tego hasła z Muzeum Czerwca 1956. Pokazywaliśmy też przykłady, gdzie wielokrotnie mówiliśmy o tym, że to pan Nowak stworzył transparent – mówi Lisiecki.

Jacek Polewski dodaje, że akcja nie miała rozstrzygać sporów o autorstwo ani zastępować pracy historyków.

– Nie jesteśmy od tego, żeby komentować, kto co narysował w 1956 roku. Próbowaliśmy pewną ideę przenieść w XXI wiek, inspirując się, ale nie kopiując jeden do jednego. To są inne czasy, inny kontekst, inne problemy – mówi.

Sześć lat akcji, teraz przerwa

Akcja „Żądamy Chleba" działała przez sześć lat. Pieniądze zbierano do opieczętowanych puszek ustawianych m.in. w piekarniach, sklepach i zakładach rzemieślniczych, przez internet, przez wpłaty zbliżeniowe, a także podczas wydarzeń związanych z rocznicą Czerwca '56.

Organizatorzy podkreślają, że zbiórki były zgłaszane, rozliczane i kończone protokołami.

– Beneficjentem wszystkich zbiórek jest Zupa na Głównym, która przeznacza pieniądze na zupę – mówi Jacek Polewski.

Skalę tej pomocy pokazuje Wioletta Bogusz, przewodnicząca stowarzyszenia Zupa na Głównym.

– Przez sześć edycji akcji „Żądamy chleba" wsparcie organizatorów bardzo dużo nam dało. Udało się zebrać dla naszej organizacji ponad 100 tys. zł. To przełożyło się bezpośrednio na posiłki dla osób potrzebujących. Mówimy o około siedmiu, ośmiu tysiącach posiłków, czyli o siedmiu, ośmiu tysiącach sytuacji, w których ktoś po prostu nie był głodny – mówi Bogusz.

Po czerwcowych zbiórkach Zupa na Głównym miała zapewnione środki na zakup produktów na kolejne dwa, trzy miesiące. W tym roku stowarzyszenie prowadzi akcję pod innym hasłem: „Zbudujmy dłuższy stół".

– Zrobimy wszystko, żeby ludzie nie zostali bez jedzenia. Zmieni się tyle, że my będziemy musieli bardziej intensywnie szukać pieniędzy. Zaczynamy wszystko od początku – mówi Bogusz.

– Wszystko robiliśmy obywatelsko, własnymi siłami, jako Poznaniacy. Nie pracujemy przy tej akcji za pieniądze. Działamy społecznie, poświęcając swój czas – mówi Polewski.

W tle pojawia się też kwestia toreb i materiałów z hasłem. Organizatorzy przyznają, że powstawały, ale przedstawiają je jako element promocji i wsparcia zbiórki, nie źródło prywatnego zarobku.

– Te torby trzeba było wyprodukować. Czasem ktoś dawał upust, czasem robił coś za darmo, a czasem dokładaliśmy do tego własne pieniądze. Każdy, kto działa społecznie, wie, że tak to wygląda – mówi Lisiecki.

Czy rodzina wiedziała?

Organizatorzy przywołują też komentarz, który pojawił się pod jednym z postów dotyczących zbiórki. Rita Wilowska napisała wtedy: „Bardzo dziękuję za wspomnienie o mym tacie Stanisławie Nowaku. Myślę, że byłby szczęśliwy wiedząc, że jego hasło nadal żyje i to w dobrej sprawie".

Organizatorzy mówią też o wcześniejszych kontaktach z Ritą Nowak-Wilowską.

– W tamtym roku rozmawiałem z panią kilka razy i korespondowałem mailowo. Nie było żadnego sygnału, który wskazywałby, że ona nie chce, żebyśmy to robili, albo że chce wpływać na korzystanie z tego hasła – mówi Tomasz Lisiecki.

Co dalej?

Polewski uważa, że sądowa decyzja może przynajmniej uporządkować status hasła.

– Niech sąd stwierdzi: tak, pani Nowak ma prawo, albo nie, pani Nowak nie ma prawa. Zero-jedynkowo – mówi.

Sąd będzie musiał odpowiedzieć na pytanie, co dalej z hasłem „Żądamy chleba". Czy symbol, który wyrósł z robotniczego protestu i od dekad należy do pamięci miasta, może być swobodnie przywoływany w społecznej sprawie? Czy też jego użycie będzie wymagało zgody i może zostać zablokowane? Od tej decyzji może zależeć nie tylko przyszłość jednej zbiórki, ale także sposób, w jaki Poznań będzie korzystał z własnej historii.

REKLAMA 0111461412



eprasa.pl e3d9949b34

Polska
Poniedziałek, 22.06.2026

Danuta i Andrzej Greszlerowie są małżeństwem, wiele lat przepracowali u „Marchlewskiego", jak po wojnie nazywano fabrykę stworzoną w Łodzi przez Izraela Poznańskiego. Tu się poznali. W „Marchlewskim" pracowała też Jadwiga Lasota. Dziś z sentymentem wspominają tamte czasy, choć praca w przemyśle z nazwy lekkim była niezwykle ciężka

Anna Gronczewska



FOT. BARTOSZ KSIĘŻAK

Jadwiga Lasota (z lewej) i Danuta i Andrzej Greszlerowie wiele lat przepracowali razem w „Marchlewskim"

TA PAMIĘTA LEPIEJ, CZYJA DŁUŻSZA NIĆ... ŁÓDZKIE WŁÓKNIARKI BYŁY KIEDYŚ TWARZĄ MIASTA, TWARZĄ CZASEM BARDZO ZMĘCZONĄ

Mówią zgodnie, że choć praca była bardzo ciężka, dobrze czuli się we własnym gronie, spotykali się poza pracą, tworzyli zgrany zespół nie tylko w fabrycznych murach.

Po wojnie fabryka włókiennicza Izraela Poznańskiego została przejęta przez państwo. Nazwisko jej założyciela wymawiano z wielką pogardą. Patronem jego fabryki został komunista Julian Marchlewski, który miał kiedyś tu pracować. W latach siedemdziesiątych dodano handlową nazwę „Poltex". Był to drugi co do wielkości, po „Uniontеksie", zakład włókienniczy w Łodzi. W pewnym momencie pracowało tu nawet 12 tysięcy ludzi!

Nierzadko fabryczne znajomości przeradzały się w fabryczne małżeństwa, tak jak w przypadku Danuty i Andrzeja Greszlerów. Oboje, a także ich koleżanka Jadwiga Lasota, z którą do dzisiaj się spotykają, pracowali w tkalni. Danuta i Jadwiga były tkaczkami, a Andrzej - elektrykiem. Drogi, które zaprowadziły ich do „Marchlewskiego", były różne.

Danuta Greszler mieszkała na ul. Zgierskiej i po skończeniu szkoły podstawowej chciała się uczyć w technikum gastronomicznym, ale się tam nie dostała.

- Poszłam do zasadniczej szkoły włókienniczej, która mieściła się przy ul. Drewnowskiej - opowiada. - Do „Marchlewskiego" pierwszy raz poszłam podczas praktyk. Ucząc się w szkole, bywałam tam często. Przez dwa dni mieliśmy zajęcia w szkole, a w pozostałe na tkalni. Uczyłam się w przyzakładowej szkole. Musieliśmy zaliczyć pracę we wszystkich działach. Tak więc gdy skończyłam szkołę, praca na tkalni nie była dla mnie nowością.

Jadwiga Lasota zaczęła pracować w „Polteksie" w 1965 roku. Po podstawówce chciała się uczyć w liceum pedagogicznym, chciała zostać nauczycielką przedszkola. Niestety, nie dostała się i musiała rozpocząć naukę w przyzakładowej szkole „Marchlewskiego", która wtedy mieściła się przy ul. Zgierskiej.

- Trzeba było coś robić i poszłam do tej szkoły - wspomina Jadwiga Lasota. - Tak jak Danusia miałam w „Marchlewskim" praktyki. Mieliśmy instruktorkę, która przyprowadzała nas do fabryki. Wszystkiego nas uczyła. Mieliśmy praktyki na tkalni, wykańczalni.

To było królestwo kobiet

Andrzej Greszler po szkole przez dwa lata pracował w „Harnamie", potem przeszedł do „Marchlewskiego. W „Polteksie" mężczyźni stanowili mniejszość.

- 80 procent zatrudnionych stanowiły kobiety, mężczyźni byli w mniejszości - twierdzi pan Andrzej. - Ja pracowałem jako elektryk na tkalni. Stąd poszedłem do wojska, służyłem w Sieradzu. Po wojsku wróciłem do „Marchlewskiego". Mieliśmy zgrany zespół, atmosfera była fajna i tu poznałem żonę. Usuwaliśmy drobne awarie, ale także te poważniejsze związane z oświetleniem. Trzech elektryków pracowało na trzy zmiany, a reszta na dziennej zmianie.

Wata do uszu, gesty zamiast słów

Na tkalni było bardzo głośno. Tkaczki wkładały do uszu watę, a potem specjalne korki. Pani Danuta mówi, że wymyślali też słuchawki tłumiące hałas.

- Chcieli nam ten słuch zabezpieczyć - dodaje. - Ja na szczęście nie mam dziś problemów ze słuchem, ale wiele moich koleżanek tak.

Danuta i Jadwiga przyznają, że ze względu na ten hałas nie można było ze sobą normalnie rozmawiać. Posługiwały się gestami.

- Jak chciałam wyjść na chwilę na papierosa, to pokazywałam to rękoma, koleżanki wiedziały o co chodziło - mówi Jadwiga Lasota.

Było też bardzo gorąco. To sprawiało, że tkaczki fartuchy zakładały na samą bieliznę. Męcząca była praca na trzy zmiany.

- Przez tydzień chodziło się do pracy na noce, kolejny na dzień, a następnie na popołudnia - mówi Danuta Greszler. - Jak człowiek wracał z nocnej zmiany, to trochę się przespał, ale trzeba było zaraz wstawać. Zrobić zakupy, ugotować obiad, pranie, a potem znów na nocną zmianę. Choć z czasem człowiek przyzwyczaił się do takiego życia. Ranna zmiana trwała do 13.30. Wtedy zaczynała się popołudniowa, która kończyła się o 21.30, a zaczynała się nocna. Maszyny pracowały prawie cały czas. Jak włączono je w poniedziałek, to wyłączano je dopiero w niedzielę rano. Wcześniej jedna zmiana przekazywała produkcję drugiej. Trzeba było spisać ile się wyprodukowało, a maszyny cały czas chodziły. Każde krosno miało licznik, trzeba było go spisać, podać ile metrów tkanin się wyprodukowało.

Danuta Greszler obsługiwała 22 krosna, Jadwiga Lasota - 10. Obie panie nabiegały się między tymi krosnami.

- Ja pracowałam jeszcze na starych krosnach - wyjaśnia pani Jadwiga.- Cały czas biegało się między nimi, zawsze któreś musiało stanąć. Dla kobiety była to ciężka praca.

Przeżyła strajk włókniarek

Jadwiga Lasota przeżyła strajk z lutego 1971 roku. Trzeba pamiętać, że było to dwa miesiące po strajkach i masakrze robotników na Wybrzeżu, atmosfera wciąż była napięta. Kiedy zaczął się strajk w „Marchlewskim", pani Jadwiga pracowała akurat na nocnej zmianie.

- To było takie spontaniczne działanie - opowiada. - Wyłączono maszyny. Trzeba pamiętać, jakie to były czasy. Na pewno był strach. Ja po swojej zmianie nie wróciłam do domu, zostałam w fabryce. Byłam młoda, nie miałam jeszcze wtedy męża, dzieci. Wszyscy na mnie liczyli. Te koleżanki, które miały dzieci, wróciły do domu. Ja zostałam na ranną zmianę. Strajk wybuchł spontanicznie, ale z czasem zaczęłyśmy wszystko organizować. Pamiętam jak na takim wielkim, pakowym papierze pisałyśmy postulaty. Nie przypominam sobie, by był jakiś lider czy liderka tego strajku.

Do fabryki przyjechała wtedy delegacja partyjnych władz Łodzi.

- Stałyśmy z koleżanką Teresą w ubikacji i nagle widzimy, że idzie jakaś procesja panów w garniturach - wspomina pani Jadwiga. - To była ta partyjna delegacja, która szła do sali konferencyjnej. Chciano, żeby do Łodzi przyjechał Gierek, ale ostatecznie pojawił się premier Jaroszewicz. U nas jednak nie był, pojechał do „Uniontеksu". Podobno jedna z włókniarek pokazała mu tam goły tyłek, ale nie wiem czy to prawda.

Główną przyczyną strajku łódzkich włókniarek była podwyżka cen artykułów żywnościowych i sytuacja materialna robotników. Średnia płaca w przemyśle włókienniczym wynosiła w 1969 roku 1994 złote, a więc była o 448 zł niższa od przeciętnej pensji w kraju. Ministerstwo Przemysłu Lekkiego podjęło też decyzje, w wyniku których narastały różnice w wynagrodzeniu robotników w tzw. układzie branżowym i regionalnym.

eprasa.pl e3d9949b34

- W efekcie przyrost płac w Łodzi był około 50 procent niższy niż w całym przemyśle lekkim - zauważał w swojej książce poświęconej strajkom w Łodzi prof. Krzysztof Lesiakowski.

Łódzcy włókniarze pracowali też w ciężkich warunkach. Tylko w 85 procentach fabryk w Łodzi były szatnie. Natryski znajdowały się w co drugim zakładzie, a jadalnie w co piątym... Robotnicy pracowali też często na maszynach pamiętających przedwojenne czasy.

Ten strajk nie trwał długo, ale zakończył się sukcesem łódzkich włókniarek. Cofnięto podwyżki cen żywności, a włókniarki dostały niewielkie podwyżki.

Maszyny znów stanęły

Danuta Greszler i jej mąż Andrzej dobrze pamiętają strajk, jaki wybuchł w „Marchlewskim" po wprowadzeniu stanu wojennego.

- Z 12 na 13 grudnia pracowałem akurat na noc - opowiada Andrzej Greszler.- Przyszliśmy do pracy z soboty na niedzielę, bo musieliśmy usunąć jakieś usterki czy robić konserwację. O tym, że wprowadzili stan wojenny, powiedzieli nam portierzy. Nie wiedzieliśmy o co chodzi. Ja wtedy miałem 26 lat. Przed wprowadzeniem stanu wojennego przeprowadzaliśmy referendum czy wyprowadzić z zakładu organizację partyjną. Ja zbierałem głosy. Na szczęście szybko usunięto informację o tym referendum z tablicy ogłoszeń. Inaczej miałbym kłopoty, mówili, że mogli mnie nawet internować.

W „Marchlewskim" zastrajkowano i wyłączono maszyny, ale szybko pojawił się człowiek w mundurze.

- To był chyba pułkownik i powiedział, że lepiej nie strajkować, bo mamy stan wojenny - wspomina pan Andrzej. - Przekonał ludzi, ale zaraz przybiegł Jerzy Dłużniewski z Solidarności, który potem został posłem, a wtedy pracował jako mistrz. Przyszły też dziewczyny z tzw. wysokiej tkalni i też chciały strajku. Zatrzymano maszyny, ale każdy miał rodzinę, ludzie się bali. Maszyny znów ruszyły.

Danuta Greszler przypomina, że w stanie wojennym pracownicy „Marchlewskiego" musieli mieć przepustki, by dostać się do pracy.

Tylko jeden tkacz na sali

Jadwiga Lasota mówi, że w jej sali pracował tylko jeden tkacz, pan Stasiu.

- Był już starszym człowiekiem, ale uczynnym - zapewnia. - Mężczyznami byli też mistrzowie.

W tkalni pracowały bowiem zespoły, które składały się z mistrza, dwóch tkaczek i pomagaczki. Były tam 22 takie zespoły. Jak coś się zepsuło, to mistrz naprawiał.

- Jak tkaczka wychodziła na śniadanie, to zastępowała ją pomagaczka - wyjaśnia pani Jadwiga. - Krosna musiały cały czas pracować. Pamiętam, że kiedyś pracowałam na ranną zmianę. Tkalnię rano obchodził kierownik. Zwykle przychodził około godziny 8.00. Dopiero co zaczęłam pracę, była koło 6.00, i pomyślałam, że zjem przy krośnie śniadanie. Wypadły z krosna cewki, a nie było Stasia, który by je pozbierał. A tu patrzę, przychodzi kierownik, pamiętam, że nazywał się Wróbel. Podchodzi do mnie i pokazuje na cewki, a ja na swoje śniadanie. Był taki hałas, więc trzeba było wszystko pokazywać rękoma. Kierownik tylko przytaknął głową i odszedł, porządny z niego był człowiek.

Pracującym przy maszynom włókniarkom zakład zapewniał herbatę, kawę, miętę, a potem nawet sok z wodą. Herbatę czy kawę w półlitrowych butelkach po wódce roznosiły pomagaczki. Do butelek dołączone były sznurki. Każda z pomagaczek nosiła po pięć - sześć takich butelek.

Wczasy w Ustce, kolonie w Grotnikach

Dawni pracownicy chwalą sobie warunki socjalne. „Marchlewski" miał stołówkę, ośrodki wczasowe, kolonijne. Było przyzakładowe przedszkole, żłobek. Za darmo można było wypożyczyć sprzęt sportowy, turystyczny. Jeździli na biwaki, wycieczki. Organizowano zawody sportowe,

- Mieliśmy ośrodki w Ustce, Teofilowie koło Spały czy Grotnikach pod Łodzią - wymienia je pan Andrzej. - Może nie co roku, ale wyjeżdżało się na wczasy za nieduże pieniądze. Mieliśmy przy zakładzie stołówkę. Ja sam tam ze trzy lata się stołowałem, dziewczyny bardzo dobrze gotowały.

Codziennie pod fabrykę podjeżdżały autokary, które przywoziły pracowników z Ozorkowa, Łęczycy.

Życie nie do pogodzenia z pracą na trzy zmiany

Jadwiga Lasota pracowała w „Marchlewskim" do 1978 roku. Wtedy jej syn Tomek szedł do „zerówki", mąż poszedł na studia i nie mogła wszystkiego pogodzić z pracą na trzy zmiany. Musiała odejść.

- Nie miałam wyjścia, nie miał kto pomóc przy dziecku - mówi pani Jadwiga. - Poszłam najpierw do prywatnej firmy, a później zaczęłam pracę w „Stomilu". Tam też pracował mój mąż, a ja nie musiałam chodzić do pracy na noce. Było to dla mnie bardzo ważne. Potem na świat przyszło drugie dziecko. Pracowałam na jedną zmianę, co bardzo mi odpowiadało.

Pani Danuta pracowała w „Marchlewskim" do końca, jej mąż do 1995 roku. Pamiętają dyrektora Mieczysława Michalskiego, dzięki któremu powstała Manufaktura. Właśnie tam, gdzie był kiedyś „Marchlewski".

- Przyszedł kiedyś do nas na zebranie i powiedział, że przyszedł do nas, by uratować zakład - mówi Andrzej Greszler. - Mieliśmy się nie martwić, ale słyszałem od kolegi, że dyrektor Michalski był specjalistą od likwidacji zakładów.

Danuta Greszler pół roku pobierała zasiłek dla bezrobotnych. Po likwidacji zakładu prace straciły jej koleżanki, które miały po dwoje, troje dzieci.

- Dostałyśmy wymówienie i żadnych odpraw - dodaje. - Teraz też emerytury mamy niskie.

Pani Danuta na koniec swej pracy w „Marchlewskim" pracowała w biurze i sprzedawała wyposażenie fabryki.

- Potem znalazłam pracę w prywatnej firmie, też w biurze - mówi Danuta. - Pracuję tam do dziś.

Jej mąż po odejściu z „Marchlewskiego" pracował jako konserwator w masarni.

Weszła do Manufaktury po pięciu latach

Danuta i Andrzej Greszlerowie mieszkają niedaleko Manufaktury i widzieli jak zmienia się ich fabryka, jak burzą mury.

- Płakać mi się chciało, gdy na to patrzyłam - mówi Danuta. - Dzisiaj myślę, że dobrze się stało, że zagospodarowali to miejsce. Jak pierwszy raz poszłam do Manufaktury, to czułam tam zapach mojej tkalni.

Upadek zakładu przeżyła też pani Jadwiga.

- Jak powstała Manufaktura, to przez pięć lat tam nie weszłam - mówi Jadwiga Lasota. - Gdy przejeżdżałam koło niej, to odwracałam głowę. Nie mogłam przeboleć co stało się z moją matką żywicielką. W końcu mąż namówił mnie, byśmy tam poszli.

Danuta Greszler zastanawia się chwilę, gdy pytamy ją czy jeszcze raz wybrałaby ten zawód.

- Chyba tak, bo człowiek przyzwyczaił się do tej pracy - odpowiada. - W pracy panowała bardzo dobra atmosfera. Z wieloma koleżankami do dziś utrzymuję kontakt, spotykamy się, a nasza znajomość ma ponad 50 lat! Pracę u „Marchlewskiego" zaczęłam w 1972 roku.

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORANGE 0011538988

Światłowód w super cenie, 230 kanałów TV i Amazon Prime w prezencie. Orange stawia na kompleksową rozrywkę

Super szybki internet, bogata telewizja i popularne serwisy streamingowe – brzmi świetnie? Orange proponuje ofertę, która ma po prostu ułatwić codzienne korzystanie z rozrywki i usług online.

Orange światłowód w wyjątkowej cenie
Podstawą oferty Orange jest światłowód – czyli stabilne i szybkie łącze z ofertą dopasowaną do potrzeb różnych klientów. Orange proponuje kilka wariantów prędkości – od tych wystarczających do codziennego przeglądania internetu, pracy zdalnej czy wideorozmów, po opcje dla bardziej wymagających użytkowników, korzystających ze streamingu w jakości 4K, rozgrywek online czy obsługi wielu urządzeń jednocześnie.
Światłowód oznacza jednak nie tylko wysokie prędkości, ale również bezpieczeństwo, stabilność połączenia i niskie opóźnienia. To szczególnie istotne w domach, gdzie z internetu korzysta jednocześnie kilka osób. W promocji Orange oferuje **prędkość do 300 Mb/s w unikalnej cenie 39,99 zł/mies. z rabatami**, a przy wyborze wyższych prędkości super benefity, takie jak **miesiące z abonamentem 0 zł** (do tego wypożyczenie modemu za 4,99 zł/mies.). Dzięki temu cenowy próg wejścia w szybki światłowód jest dużo niższy.

Telewizja z szerokim wyborem treści
Integralnym elementem oferty Orange jest **telewizja Extra TV, dzięki której można oglądać aż 230 kanałów,** w tym m.in.: 5 kanałów sportowych Eleven Sports, 5 kanałów filmowo-serialowych FILMBOX, a także 6 nowych stacji z różnych kategorii tematycznych - Zero, Golf Zone, Xtreme TV, Remonty TV, TVC Super i Szlagier TV. Telewizję można oglądać na telewizorze, na komputerze albo na urządzeniach mobilnych (smartfon, tablet) – nawet na trzech urządzeniach jednocześnie. Przy wyborze tradycyjnego sposobu oglądania można zamówić dekoder za jedyne 4,99 zł/mies. albo – jeśli klient ma Smart TV z systemem Android v11 lub wyższa – oglądać treści na telewizorze bez dekodera, dzięki aplikacji Orange TV.

Amazon Prime - kluczowy element oferty
Dodatkowym mocnym punktem oferty jest Amazon Prime. I nie chodzi tylko o serwis streamingowy Prime Video – choć to już sama w sobie niemała atrakcja, bo gwarantuje moc oglądania, od filmów po popularne seriale, w tym polskie i zagraniczne produkcje oryginalne Amazon, jak np.: „Spider-Noir", „Fallout", „The Boys", „Władca Pierścieni: Pierścienie władzy" czy „LOL: Kto się śmieje ostatni". Użytkownicy Amazon Prime dostają także szereg innych konkretnych korzyści, które mogą realnie przełożyć się na oszczędności. To np.: darmowe, krajowe dostawy produktów zamówionych na Amazon.pl, superokazje zakupowe w ciągu



roku i podczas Prime Day, a także dostęp do serwisu Amazon Luna z mnóstwem bezpłatnych gier.
A to wszystko na dwa lata w prezencie przy zakupie Extra TV. To czysta korzyść i wielka swoboda korzystania z wielu usług bez konieczności ponoszenia dodatkowych kosztów.

Rodzinne numery z oszczędnościami
W Orange opłaca się mieć więcej numerów w ofercie na abonament. Klient, który wybierze Plan M (od 80 z/mies. z rabatami) lub Plan L z internetem 5G Pro bez limitów (od 100 zł/mies. z rabatami) z umową na 24 mies. i **dokupi – dla swoich bliskich – kolejne numery z tym samym planem, za każdy z nich zapłaci połowę ceny, jaką płaci za swój numer.** Oznacza to, że za drugi i następny numer zapłaci z rabatami od 40 zł/mies. z Planem M, a z Planem L - od 50 zł/mies. Łączenie abonamentów się opłaca - dorzuca coś dla całej rodziny i jest to wyraźnie odczuwalne w portfelu.
To szczególnie atrakcyjna opcja dla wszystkich, którzy nie panują już nad mnogością ofert, rachunków i firm, i wolą ogarnąć wszystko w jednym miejscu. Tak właśnie jest w Orange: korzystnie i wygodnie dla rodziny. Proste rozwiązania często są najlepsze – i tu dokładnie o to chodzi.
Więcej o Rodzinnych numerach tutaj (https://www.orange.pl/abonament/rodzinne-numery)

Kompleksowa oferta dopasowana do potrzeb
Oferta Orange to przykład tego, jak operator dba o to, aby klientowi było po prostu wygodnie.
Dostajesz internet, abonament komórkowy, telewizję i usługi streamingowe w jednym miejscu, rozliczasz wszystko na jednym rachunku i delektujesz się najwyższej jakości rozrywką. Oczywiście jest tego dużo więcej – szczegóły na orange.pl

eprasa.pl e3d9949b34

Polska
Poniedziałek, 22.06.2026

MNICH MA PONAD DWA TYSIĄCE SIEKIER

Siekiery fińskie, amerykańskie, japońskie i australijskie. Kowalskie, ciesielskie, obosieczne i topory. W sumie ponad 2 tysiące eksponatów można znaleźć w Muzeum Siekier w Wojtówce w gm. Knyszyn. Każdy z nich jest naostrzony i gotowy do pracy

Magda Ciasnowska

Po przekroczeniu progu niewielkiego, drewnianego budynku ma się wrażenie, że siekiery są dosłownie wszędzie. Zakrywają ściany od podłogi aż po sufit, tworząc niezwykłą ekspozycję. Dopiero po chwili okazuje się, że część tych ścian to w rzeczywistości ukryte drzwi. Gdy zostają otwarte, oczom zwiedzających ukazują się kolejne rzędy eksponatów zawieszonych na następnych ścianach. Każde otwarcie odsłania następne skarby kolekcji, sprawiając, że muzeum okazuje się być znacznie większe, niż można przypuszczać na pierwszy rzut oka.

– Na początku trzymałem te siekiery w garażu w Białymstoku, ale kiedy zgromadziłem ich około 1500, garaż był już całkowicie zastawiony – wspomina Krzysztof Mnich, twórca Muzeum Siekier. – Wymyśliłem więc system, który pozwolił mi w Wojtówce trzykrotnie zwiększyć powierzchnię ekspozycyjną. Niektórzy mówią, że jest to dom z największą liczbą drzwi. W sumie jest ich tu czternaście.



FOT. W. WOJTKIELEWICZ

Krzysztof Mnich to pasjonat dawnych narzędzi i kolekcjoner, który od lat buduje swoje wyjątkowe zbiory

Zaczęło się od dawnych narzędzi

Krzysztof Mnich to pasjonat dawnych narzędzi i kolekcjoner, który od lat rozwija swoją wyjątkową kolekcję. Muzeum Siekier mieści się na terenie Wioski Mnicha w Wojtówce. To zespół zabytkowych, drewnianych zabudowań, które właściciel samodzielnie odrestaurował i przystosował do nowych funkcji.

Początki muzeum nie były jednak związane z siekierami. Najpierw powstała stolarnia, a wraz z nią kolekcja odnowionych narzędzi rzemieślniczych. Wśród zgromadzonych przedmiotów znalazły się m.in.: strugi, piły ręczne, świdry, młotki, poziomice, ręczne wiertarki, śrubokręty, dłuta, ośniki. Brakowało tylko siekiery.

– Pamiętam tę pierwszą. To była niemiecka, bardzo ładnie wykonana siekierka, zrobiona na trzonku z mahonia azjatyckiego. Nawet chwaliłem się nią w Sylwestra 2021 roku. I to był moment, kiedy zacząłem interesować się siekierami lepszych marek – wspomina pan Krzysztof.

W internecie Podlasianin trafił na grupę poświęconą tematowi siekier. Okazało się, że tak jak niektórzy zbierają znaczki czy monety, wielu ludzi poświęca swój czas i środki właśnie na siekiery. Za pośrednictwem sieci się nimi chwalą, wymieniają się, sprzedają i kupują kolejne wyjątkowe egzemplarze. Momentalnie wciągnęło to pana Krzysztofa i jego zainteresowanie szybko przerodziło się w pasję, a następnie w kolekcję o imponujących rozmiarach. Dziś jego zbiory liczą ponad dwa tysiące egzemplarzy pochodzących z różnych części świata. Wśród nich są siekiery z krajów skandynawskich, Wielkiej Brytanii, Ameryki Północnej, Australii, Nowej Zelandii, Japonii, Chin, Niemiec, Francji, Hiszpanii, Portugalii, Polski i wielu innych państw. Kolekcja jest stale uzupełniana o nowe okazy.

Na bierzmowaniu przyjął imię Józef, a Józef był cieślą

Zwiedzając muzeum, można zobaczyć wiele różnych siekier. Do najcenniejszych należy amerykański Black Raven, którego wartość kolekcjonerska sięga dziś kilku tysięcy dolarów.

Każdy, kto tu wejdzie, zobaczy nie tylko mnóstwo marek, ale także wiele typów siekier, z których każda ma konkretne zastosowanie.

– Siekiera do łupania powinna stopniowo się rozszerzać. Mam model, który według mnie jest najlepszą siekierą do rozszczepiania drewna. Gdy wejdzie głębiej w pień, skutecznie go rozłupuje, a później łatwo ją wyjąć – opowiada właściciel kolekcji.

W zbiorach znajdują się także siekiery typu double bit, czyli z podwójnym ostrzem.

– Jedni używali ich dlatego, że dwa ostrza oznaczały dwa razy więcej pracy bez ostrzenia. Inni zaś jedno ostrze przeznaczali do okrzesywania drzew, a drugie do wykonywania podcięć przy ścinaniu pni – wyjaśnia Krzysztof Mnich.

Są też stuletnie ośniki służące do korowania bali, fińskie siekiery wojskowe, siekierki dachowe czy specjalne modele racingowe, wykorzystywane podczas zawodów drwali.

Nie brakuje również egzemplarzy wyprodukowanych wiele dekad temu, które nigdy nie trafiły do użytku.

– Są też tak zwane leżaki magazynowe – siekiery mające 80 czy 100 lat, ale nigdy nieużywane. Leżały w magazynach albo nie zdążono ich osadzić na trzonkach. Takie egzemplarze są szczególnie cenione przez kolekcjonerów. Dopóki mają fabryczne naklejki i nie zostały ani razu naostrzone i użyte, mają wielką wartość – tłumaczy pan Krzysztof.

Jest także spora kolekcja siekier ciesielskich, które właściciel tego niezwykłego muzeum darzy szczególną sympatią.

– Może dlatego, że na bierzmowaniu przyjąłem imię Józef, a Józef był przecież cieślą – śmieje się kolekcjoner. – Mam około dwustu siekier ciesielskich i bardzo je lubię. Patrzę też na ogrom pracy, jaką trzeba było włożyć w ich wykonanie. Często takie siekiery powstawały z trzech elementów. Dziś coś podobnego można byłoby szybko wyciąć na plazmie, ale wtedy kowal musiał poświęcić na to wiele godzin ciężkiej pracy. Według mnie wykucie takiego egzemplarza mogło zajmować nawet kilka dni.

Żeby nie rdzewiały, zabezpiecza je olejem lnianym

Podlaskie muzeum jest znane pasjonatom tematu na całym świecie.

– Mówią, że to największa taka kolekcja w Europie, a może nawet na świecie. Co prawda są osoby, które mają więcej siekier, ale często są to same głowice leżące gdzieś w piwnicach albo magazynach – mówi Mnich.

Ta rozpoznawalność sprawia, że do pana Krzysztofa coraz częściej zgłaszają się kolekcjonerzy, którzy chcieliby się pozbyć swoich kolekcji.

– Dwa lata temu pojechaliśmy do Helsinek po 170 siekier. Właściciel kolekcji powiedział, że sprzeda je tylko mnie, bo wiedział, że trafią do muzeum i będą dostępne dla zwiedzających. Nie chciał rozsprzedawać ich pojedynczo różnym kolekcjonerom. Teraz podobna sytuacja jest w Szwecji. Jeden z kolekcjonerów przygotował dla mnie 50 stuletnich, nieużywanych siekier z zachowanymi naklejkami. Na początku lipca jedziemy je odebrać – zdradza Podlasianin.

Kolekcja pana Krzysztofa jest niezwykle cenna nie tylko kolekcjonersko.

– Siekierę można kupić za 50 czy 100 euro. Jeśli model jest rzadki, trzeba zapłacić 200–300

eprasa.pl e3d9949b34



FOT. W. WOJTKIELEWICZ

– Mówią, że to największa taka kolekcja w Europie, a może nawet na świecie. Co prawda są osoby, które mają więcej siekier, ale często są to same głowice leżące gdzieś w piwnicach albo magazynach – mówi Krzysztof Mnich

euro. A jeśli mówimy o najrzadszych egzemplarzach, jak Black Raveny, ceny są już znacznie wyższe - przyznaje kolekcjoner.

Pan Krzysztof egzemplarzy z całego świata szuka w internecie. Kiedy siekiera, bądź niekiedy cała kolekcja siekier już do niego trafi, nie od razu ląduje na ścianie.

- Wszystkie są czyszczone i odnawiane. Część z nich musi otrzymać nowe trzonki - opowiada. - Zależy mi przede wszystkim na tym, żeby siekiery nie rdzewiały. Zarówno trzonki, jak i głowice zabezpieczam olejem lnianym. Dobrze spełnia swoją funkcję, a jednocześnie jest naturalny - nie zmienia koloru drewna i pięknie podkreśla jego strukturę.

Jednak po tym wszystkim siekiery nie stają się zwykłymi, kurzącymi się eksponatami muzealnymi.

- Filozofia tego miejsca jest taka, że te narzędzia mają żyć. Przychodzę tutaj z synami, biorę siekiery, każdemu daję po jednej i rąbiemy. Jeśli trzeba przeciąć gałąź, po prostu biorę siekierę ze ściany i idę do pracy. Wszystkie są naostrzone i przygotowane do użycia - podkreśla kolekcjoner.

Oczywiście są też bardzo stare egzemplarze, nawet dwustuletnie, które nie są poddawane zbyt mocnej odnowie.

- Nie ostrzę ich i zostawiam w bardziej muzealnym stanie. Ale nawet wtedy staram się założyć odpowiedni trzonek, żeby odwiedzający mogli wziąć taką siekierę do ręki i poczuć, jak korzystano z niej przed laty - zaznacza.

Muzeum Siekier można zwiedzać po wcześniejszym umówieniu terminu. Wizytę w nim można połączyć z poznawaniem Wioski Mnicha, warsztatami stolarskimi czy wizytą w kuźni, gdzie promowana jest praca ręczna i rozwijanie praktycznych umiejętności. Jak podkreśla Krzysztof Mnich, wizyta nie ogranicza się jedynie do oglądania eksponatów.

- Jeśli jestem na miejscu, oprowadzam osobiście. Zdejmujemy siekiery ze ścian, bierzemy je do ręki, a czasem nawet idziemy coś porąbać. Chcę, żeby ludzie mogli poczuć, jak pracuje takie narzędzie - mówi właściciel kolekcji.

Na odwiedzających czekają również tory do rzucania siekierami.

Muzeum odwiedzają zarówno osoby indywidualne, jak i grupy zorganizowane.

- Dopiero kiedy ludzie widzą setki różnych wzorów, zaczynają dostrzegać, że za każdą siekierą stoi konkretna historia i przeznaczenie - podkreśla Krzysztof Mnich.

A jak zaznacza kolekcjoner, ta historia ciągle trwa.

- Siekiera przez wieki towarzyszyła człowiekowi. Była jednym z najważniejszych narzędzi codziennego życia. Ostatnio ktoś zapytał mnie, po co dziś jeszcze komuś siekiery, skoro są piły spalinowe i inny nowoczesny sprzęt. A przecież nawet teraz, podczas wojny na Ukrainie, nikt nie odpalał piły tam, gdzie trzeba było zachować ostrożność. Piła jest głośna, wytwarza ciepło i wymaga paliwa. Siekierą można po cichu przygotować drewno, rozpalić ognisko czy zadbać o podstawowe potrzeby rodziny. To wciąż narzędzie, które ma swoje bardzo ważne zastosowanie.

SIEKIERA PRZEZ WIEKI TOWARZYSZYŁA CZŁOWIEKOWI. BYŁA JEDNYM Z NAJWAŻNIEJSZYCH NARZĘDZI CODZIENNEGO ŻYCIA

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

0011541836

Stacja przyszłości już w Polsce.

Wygodne zakupy i więcej gastronomii

ORLEN rozpoczął pilotaż nowego formatu Stop Cafe, który ma wyznaczyć kierunek rozwoju stacji paliw w najbliższych latach. Pierwszy obiekt działający według tej koncepcji działa już przy ul. Grzybowskiej w Warszawie. To właśnie tam, spółka będzie testować rozwiązania związane z organizacją sklepu, ofertą gastronomiczną oraz automatyzacją zakupów. Co dokładnie zmieni się na stacjach i które nowości mają szansę trafić do całej sieci?

Stacja dostosowana do miejskiego życia

Nowy koncept Stop Cafe został stworzony z myślą o klientach, którzy cenią sobie szybkie i wygodne zakupy. Zwłaszcza tych zamieszkujących duże miasta, gdzie tempo życia wymaga nadążającego za nimi świata - rano wpadają po kawę i świeżą przekąskę, w ciągu dnia szukają szybkiego i zdrowego lunchu, a wieczorem chcą kupić kilka produktów bez stania w długich kolejkach.

Zmiany objęły nie tylko układ sklepu, ale także sposób prezentacji asortymentu. Przestrzeń została podzielona na czytelne strefy, co ułatwia odnalezienie konkretnych artykułów. Jednym z przykładów jest strefa zdrowia, w której znajdują się produkty proteinowe, funkcjonalne, bez cukru oraz nowa kategoria suplementów.

Jak podkreśla Marek Balawejder, Wiceprezes Zarządu ORLEN ds. Consumers & Products, zmiany wynikają z obserwacji sposobu, w jaki konsumenci korzystają dziś z punktów sprzedaży.

– W detalu nie konkurujemy już wyłącznie produktem czy ceną, ale jakością całego doświadczenia zakupowego. Dlatego rozwijamy ORLEN jako nowoczesną, wieloformatową sieć convenience, która potrafi odpowiadać na codzienne potrzeby klientów szybko, wygodnie i w sposób przewidywalny. Projekt przy ul. Grzybowskiej traktujemy jako ważny etap w testowaniu rozwiązań, które w przyszłości będą wspierać dalszą transformację naszej oferty detalicznej – mówi.

Nowy wymiar gastronomii

Jednym z najważniejszych elementów nowego konceptu jest rozbudowana oferta gastronomiczna. Oprócz klasycznych kaw, klienci mogą teraz zamówić również kawy mrożone, matcha latte oraz sezonowe napoje, w tym lemoniady. Część z nich można dodatkowo personalizować!

Co jeszcze bardziej zadowoli gości – w odpowiedzi na rosnące zainteresowanie produktami gotowymi do szybkiego zakupu i spożycia, rozszerzono też ofertę świeżych kanapek, przekąsek oraz wypieków. ORLEN chce w ten sposób zachęcić klientów do traktowania stacji nie tylko jako miejsca tankowania, ale i punktu, w którym można zjeść smacznie i szybko jednocześnie.

Kwiatomat, ciastomat i zakupy bez kolejek

Warszawska stacja została wyposażona również w nowe rozwiązania samoobsługowe. Klienci mogą skorzystać z automatów, tj. kwiatomat oraz ciastomat, które umożliwiają zakup produktów bez konieczności oczekiwania przy kasie.

Warto dodać, że nie są to rozwiązania całkowicie nowe dla koncernu. W Czechach ORLEN rozwija m.in. pizzomaty oraz pralnie samoobsługowe, natomiast na Słowacji funkcjonują już automaty sprzedające kwiaty.

Do rozwoju segmentu pozapaliwowego odnosi się również Agnieszka Bobrukiewicz, Dyrektor Wykonawcza ds. Sprzedaży Pozapaliwowej w ORLENIE:

– Stacja przy ul. Grzybowskiej to ważny etap w rozwoju naszego podejścia do oferty pozapaliwowej. Tworzymy przestrzeń z myślą o kliencie, który oczekuje dziś nie tylko szybkości i wygody zakupów, ale także intuicyjnego, nowoczesnego i spójnego doświadczenia. Chcemy rozwijać format convenience, który łączy atrakcyjną ofertę z rozwiązaniami odpowiadającymi na codzienne potrzeby mieszkańców miast – i właśnie w tym kierunku będziemy rozwijać sieć ORLEN.



ORLEN zmienia rolę stacji paliw

Testy nowego formatu mają potrwać do końca 2026 roku, ale część rozwiązań zostanie wdrożona jeszcze przed ich ukończeniem. Na niektórych stacjach, w okresie letnim, będzie można skorzystać z już rozszerzonej strefy kawowej oraz oferty świeżych przekąsek i wypieków.

ORLEN zapowiada, że strefy zdrowych produktów pojawią się w większości lokalizacji w Polsce. Kwiatomaty mają zostać uruchomione w około 40 obiektach, oferta kaw mrożonych trafi do 37 stacji, natomiast świeże wypieki będą dostępne w 50–60 lokalizacjach.

Projekt przy Grzybowskiej jest elementem szerszej strategii rozwoju segmentu pozapaliwowego. Koncern zakłada, że stacje paliw będą stopniowo ewoluować w kierunku nowoczesnych sklepów convenience. Wyniki testów mają pokazać, które rozwiązania rzeczywiście odpowiadają oczekiwaniom klientów i mogą stać się standardem w całej sieci od 2027 roku.

eprasa.pl e3d9949b34

Polska
Poniedziałek, 22.06.2026



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Satelitarne zdjęcie Antarktydy. Ten kontynent od dawna budzi wiele emocji ze względu na swoje geopolityczną lokalizację, a także z powodu znajdujących się na nim surowców krytycznych

ANTARKTYDA WOLNA OD WOJEN I EKSPLOATOWANIA SUROWCÓW?

Od podpisania Układu Antarktycznego jedyny niezamieszkany na stałe kontynent na świecie ma status neutralnego. A przecież jest kuszącym skarbcem surowców: węgla, rud metali, ropy i gazu

Mariusz Grabowski

Układ wszedł w życie 65 lat temu, 23 czerwca 1961 r., niecałe dwa lata po wynegocjowaniu tekstu w Waszyngtonie. Układowi przyświecał szlachetny cel: był pierwszym dokumentem ograniczającym działania zbrojne podczas zimnej wojny. Miał też uchronić Antarktydę od rabunku bogactw naturalnych.

Jak podzielić?

Już w XIX w. w kierunku Antarktydy i jej zasobów, głównie węgla, złota i niklu zaczęły łakomie spoglądać ówczesne potęgi. Po ostatniej wojnie konflikty nasiliły się na tyle, że dochodziło nawet do incydentów zbrojnych. W 1948 r. jeden z argentyńskich okrętów ostrzelał jednostkę brytyjską na obszarze, do którego obydwa państwa rościły pretensje. Antarktydą coraz bardziej interesowali się Rosjanie, a w Stanach Zjednoczonych zastanawiano się, czy bezkresnych połaci lodu (blisko 15 mln km kw.) nie wykorzystać do prób broni jądrowej.

Zakrawa na polityczny cud, że ostatecznie światowe mocarstwa zdecydowały o pokojowym rozwiązaniu kwestii Antarktydy. W latach 50. amerykańscy i radzieccy dyplomaci wspólnie przygotowali dokument, który stał się podstawą podpisania Układu Antarktycznego. Współpraca ta była jednym z ważniejszych wspólnych, amerykańsko-sowieckich przedsięwzięć z czasów zimnej wojny.

Układ podpisano 1 grudnia 1959 r. w Waszyngtonie; wszedł on w życie 23 czerwca 1961 r., zaś Sekretariat ONZ zarejestrował go 4 sierpnia 1961 r. Sygnatariuszami było dwanaście państw, które podczas tzw. III Międzynarodowego Roku Geofizycznego (1957–1958) prowadziły badania geograficzne na Antarktydzie (Argentyna, Australia, Belgia, Chile, Francja, Japonia, Nowa Zelandia, Norwegia, RPA, USA, Wielka Brytania i ZSRR (dziś Rosja).

Tylko lód i pingwiny

Gdy spojrzy się na Arktykę, która ze względu na swoje strategiczne położenie i surowce stała się dziś celem bezwzględnej rywalizacji mocarstw, kwestia Antarktydy wciąż wygląda inaczej. Przynajmniej na razie. Głównym celem Układu było zapewnienie wykorzystania terytorium Antarktydy (obszar objęty umową to ląd i lodowce szelfowe na południe od równoleżnika 60°S) jedynie do celów pokojowych, aby nigdy nie stała się przyczyną międzynarodowych konfliktów.

Zabrania on wszelkich działań o charakterze militarnym, lecz nie wyklucza przebywania na terytorium antarktycznym pracowników wojskowych w celach badawczych. Nie rozstrzyga kwestii związanych z roszczeniami terytorialnymi, ale badania naukowe „mają być wynikiem współpracy, a ich wyniki dostępne dla wszystkich". Układ zabrania poza tym prób z bronią atomową oraz składowania odpadów radioaktywnych.

Traktat zawarty jest bezterminowo, z kilkoma datami granicznymi, natomiast, zgodnie z art. 12, może być w każdym czasie zmieniony za jednomyślną zgodą wszystkich państw stron mających prawo głosu. Całkiem niedawno, w 2004 r., utworzono stały sekretariat – Antarctic Treaty Secretariat – z siedzibą w Buenos Aires.

Od strony prawnej Układ Antarktyczny ma charakter tzw. otwarty, co oznacza, że może do niego przystąpić każde państwo należące do ONZ, a za zgodą wszystkich sygnatariuszy również każde inne państwo. Do końca 2022 r., do traktatu przystąpiło 55 państw, w tym – w 1977 r. – Polska. Corocznie odbywające się spotkania konsultacyjne umożliwiają sprawowanie kontroli nad działalnością na Antarktyce. Aby uzyskać prawo głosu, trzeba prowadzić na kontynencie „znaczącą pracę naukowo-badawczą".

Co ważne, wokół Układu z 1961 r. powstał cały system prawny, zwany Systemem Układu Antarktycznego (ATS, Antarctic Treaty System). W jego ramach funkcjonują m.in: układ dotyczące ochrony fauny i flory antarktycznej (Agreed Measures for the Conservation of Antarctic Fauna and Flora); konwencja o ochronie żywych zasobów morskich Antarktyki (Convention for the Conservation of Antarctic Marine Living Resources); konwencja regulująca eksploatację surowców mineralnych na Antarktydzie (Convention on the Regulation of Antarctic Mineral Resource Activities); czy wreszcie tzw. protokół madrycki, o ochronie środowiska naturalnego (Protocol on Environmental Protection to the Antarctic Treaty).

Polska na Antarktydzie

Polska obecność na kontynencie datuje się od 1977 r. To wtedy bowiem powstała tam Polska Stacja Antarktyczna im. Henryka Arctowskiego, całoroczny ośrodek naukowo-badawczy położona nad Zatoką Admiralicji na Wyspie Króla Jerzego w archipelagu Szetlandów Południowych. Jest kierowany przez Instytut Biochemii i Biofizyki Polskiej Akademii Nauk.

Zespół stacji zmienia się rotacyjnie podczas dwóch zmian: zimowej i letniej. Naukowcy zbierają dane meteorologiczne, ekologiczne (obserwacje ptaków i ssaków płetwonogich), hydrologiczne (na Antarktydzie znajduje się 90 proc. światowych zasobów słodkiej wody), dotyczące struktury ziemskiego pola elektrycznego i glacjologiczne (przede wszystkim badanie tempa tzw. cielenia, czyli erozji Lodowca Lange). Od niedawna badacze zajmują się także monitorowaniem ruchu turystycznego w obszarach polarnych – specyfiki zachowań turystów odwiedzających Antarktykę.

Jak podaje IBB PAN, materiały i dane gromadzone w oparciu o Polską Stację Antarktyczną są w sposób ciągły wykorzystywane w kraju przez ponad 20 placówek naukowych oraz przez instytucje naukowe z 22 krajów.

Pytanie, czy Antarktyda pozostanie terytorium neutralnym, wciąż pozostaje jednak aktualne. Od przynajmniej dwóch dekad obserwuje się zwiększenie intensywności działań w rejonie kontynentu, głównie ze strony mocarstw – USA, Chin oraz Rosji. Wynika to ze strategicznego charakteru tego obszaru, mogącego stanowić punkt wyjścia do rozszerzenia wpływów geopolitycznych.

W ciągu kilku ostatnich lat ruch wokół Antarktydy nabrał tempa. W czerwcu 2024 r. w Murmańsku miało miejsce 6. spotkanie Grupy Roboczej BRICS ds. nauki i technologii oceanicznych i polarnych. Jego tematyka obejmowała badania i rozwój zasobów Oceanu Światowego, w tym „bieżące zmiany w jego głębokich obszarach, wpływ na system klimatyczny oraz stan stref przybrzeżnych". Antarktydę uznano w Murmańsku za jeden z „priorytetów docelowych".

W listopadzie tego samego roku odnotowano obecność statku flagowego rosyjskiej floty polarnej „Akademik Fiodorow" w Kapsztadzie, skąd po uzupełnieniu zapasów ruszył w kierunku wybrzeży Antarktydy Zachodniej, do stacji Russkaja. Ciekawostką jest to, że stacja została zamknięta w 1990 r., a obecnie działa tam jedynie automatyczny sprzęt pomiarowy.

Oficjalnie „Akademik Fiodorow", potężny, blisko 150-metrowy statek-lodołamacz służy do zaopatrywania stacji polarnych i transportu naukowców, nieoficjalnie wiadomo jednak, że od kilku lat Rosjanie używają go do logistyki dla swoich ekip poszukujących na Antarktydzie złóż gazu i ropy.

Wojskowi nie próżnują

Antarktyda kusi złożami i surowcami, ale nie mniej ważnym atutem jest jej położenie, umożliwiające alokację infrastruktury wojskowej. Taki cel ma np. Australia, od lat podnosząca roszczenia terytorialne względem tego kontynentu. Chodzi tu przede wszystkim o obszar tzw. Australijskiego Terytorium Antarktycznego (AAT, Australian Antarctic Territory), obejmującego blisko 42 proc. powierzchni Antarktydy.

Na mocy art. 4 Traktatu Antarktycznego żadne z państw nie może w czasie jego obowiązywania „zgłaszać roszczeń terytorialnych do obszarów znajdujących się na południe od 60°S". Ale wzorem Australii takie roszczenia wysuwają dziś Norwegia (rości sobie prawo do terytorium Wyspy Piotra I, leżącej na Morzu Bellingshausena, ok. 430 km od wybrzeży Antarktydy), ponadto Chile, Argentyna i Wielka Brytania. Chile i Argentyna nie ukrywają zresztą utrzymywania na tym kontynencie kontyngentów wojskowych, częściowo stałych, częściowo zaś rotowanych.

W lutym 2024 r. swoją obecność na Antarktydzie zamanifestowały Chiny budując nową stację badawczą nazwaną Qin-ling Station, tuż obok stacji amerykańskiej McMurdo. Eksperci natychmiast podnieśli alarm dowodząc, że przywódca Chińskiej Republiki Ludowej Xi Jinping chce wykorzystać ośrodek naukowy na Antarktydzie do szpiegowania Zachodu i przechwytywania komunikacji satelitarnej innych krajów.

Co będzie dalej?

Separatystyczne działania niektórych sygnatariuszy Układu Antarktycznego wskazują, że problem przynależności państwowej kontynentu wróci w niedalekiej przyszłości. Konkretnie po roku 2041 r., gdy wygaśnie okres „zamrażający" nowe roszczenia terytorialne. Argentyna, Australia, Chile, Francja, Norwegia, Nowa Zelandia i Wielka Brytania, już dziś samowolnie poszerzają swoje kompetencje, m.in. wbijając do paszportów pieczątki turystom odwiedzającym stacje oraz emitując własne znaczki pocztowe.

W 2048 r. przestanie z kolei obowiązywać oficjalnie zakaz poszukiwań złóż surowców naturalnych, dając państwom całkiem nowe możliwości działania. Ale i dziś zwiększanie dziś swojej obecności na Antarktydzie jest metodą umocnienia przez państwa swojej pozycji negocjacyjnej.

Wynika to z faktu, że na mocy Układu nie można wyegzekwować żadnych konsekwencji dla państw, które zaczęłoby łamać jego postanowienia. Pozostaje on skuteczny jedynie tak długo, jak długo istnieje przekonanie co do jego zasadności.

eprasa.pl e3d9949b34

„ALTERNATYWY 4". SĄSIEDZKI TYGIEL MADE IN PRL

Jak przedstawić zbiorowy portret mieszkańców kraju na Wisłą schyłku PRL-u, ich przywary, słabości, ale i śmieszności? Stanisław Bareja miał na to odpowiedź – wszak można ich na przykład umieścić w jednym bloku i wyposażyć w skrajnie różne cechy, zachowania czy zawody. Wkrótce minie 40 lat od premiery serialu „Alternatywy 4"

Wojciech Obremski

Wydawałoby się, że fabuła serialu nie jest zbyt skomplikowana - oto poznajemy nieznających się wcześniej ludzi (czasami całe wręcz rodziny), które wyczekują od lat dawno upragnionego mieszkania. Traf zrządza, że wszyscy lądują pod tym samym adresem, na warszawskim Ursynowie, konkretnie w nowo wybudowanym bloku przy ulicy Alternatywy 4. W kolejnych odcinkach obserwujemy ich zmagania związane z niedotrzymaniem terminu oddania budynku do użytku, partactwem robotników czy cwaniactwem urzędników. W tle zaś kolejki po mięso, problemy z prądem, historyczne nawiązania (nie zawsze wygodne ówczesnej władzy), a to wszystko podane w sposób, który nie tylko dawał do myślenia, ale i przede wszystkim bawił. Ot, typowy obraz minionej epoki, odpowiednio odbity w krzywym, barejowskim zwierciadle. Tym razem jednak w formie serialu, co dawało reżyserowi większe pole do popisu. Ale i cenzurze, lecz o tym później.



FOT. CC

„Alternatywy 4" tak naprawdę doceniono po przełomie ustrojowym, a serial z czasem zyskał status kultowego

„Nad wszystkim czuwa gospodarz domu"

Sami mieszkańcy? Mamy tu ich cały wachlarz, na tyle różny pod względem charakterów, wykształcenia, a nawet wieku, że nie mogło zabraknąć między nimi okazji do komicznych (ale i dramatycznych) interakcji. Palmę pierwszeństwa dzierżą jednak relacje lokatorów z gospodarzem domu Stanisławem Aniołem, który, przy pomocy sprytnych machinacji, podporządkowuje sobie mieszkańców bloku, sprawując nad nimi realną władzę. Anioł to człowiek, któremu spore ambicje niespecjalnie się spełniły, co próbuje wyładować na sąsiadach i początkowo mu się to nawet udaje. Nie przewidział tylko tego, że jego „podwładni", jak na Polaków przystało, w obliczu tyranii potrafią się zjednoczyć, zostawiając za sobą wszystkie dotychczasowe niesnaski.

Pomysł na „Alternatywy 4" narodził się jesienią 1979 roku, kiedy to przyszły scenarzysta serialu Maciej Rybiński (felietonista i dziennikarz) odbierał klucze do swojego nowego lokum na warszawskim Okęciu. Wiele do życzenia pozostawiała zarówno jakość wykończonych wnętrz, jak i sami sąsiedzi oraz ich wzajemne relacje. Te obserwacje posłużyły Rybińskiemu do stworzenia scenariusza serialu, zaś wspierał go Janusz Płoński, kolega z redakcji czasopisma „ITD" (obaj mieli już na koncie m.in. jeden z odcinków Teatru Sensacji „Kobra").

- Odpowiedź na nasz pomysł dostaliśmy po dwóch latach. Zamówiono scenariusz, dali nam reżysera, żeby nam pomógł ze scenariuszem. Ale po pierwszym spotkaniu wiedzieliśmy, że ten człowiek, którego nazwiska nie pomnę, jest pozbawiony poczucia humoru. Postawiliśmy się w telewizji. Efekt był taki, że dali nam Bareję. Wtedy już wszystko weszło na dobre tory. Bareja nas uczył pisania scenariusza. On rozumiał ideę tej historii. Pisaliśmy u niego w domu. Napisaliśmy sześć odcinków. Serial był kręcony w stanie wojennym, co zapewniło „Alternatywom" świetną reklamę. Pakowaliśmy dużo scen ryzykownych, bo wiedzieliśmy, że nawet jeśli cenzura część wykreśli, to sporo z nich zostanie. Telewizja to łyknęła i na szczęście zapłaciła - wspominał Janusz Płoński.

Początkowo serial miał nosić tytuł „Nasz dom", a jego realizacji podjął się Stanisław Bareja, któremu Telewizja Polska, po sukcesie „Misia", zezwoliła na reżyserię. Reżyser zaczął od przygotowania scenopisu (opierając się o tekst Rybińskiego i Płońskiego), zmienił również tytuł serialu na „Stanisław Anioł". Zamiast zakładanych najpierw sześciu, mniej więcej półgodzinnych odcinków, ostatecznie nakręcono dziewięć, a każdy trwa około godziny. Po raz kolejny, już na dobre, zmodyfikowano tytuł, tym razem na „Alternatywy 4". Skąd ta zmiana? Jak tłumaczył Bareja Rybińskiemu, Polska, jako „kraj na rozstaju dróg", ma cztery alternatywy (lewo - prawo - góra - dół).

Postać dozorcy, ironicznie nazwanego Aniołem, była uosobieniem wszechobecnej kontroli obywateli przez państwo, zresztą nie od dziś wiadomo, że gospodarze domów w owym czasie nierzadko współpracowali z milicją czy Służbą Bezpieczeństwa. A pierwowzorem samego Anioła był niejaki Albin Siwak, komunistyczny aparatczyk, wywodzący się z frakcji moczarowców, pnący się błyskawicznie po szczeblach kariery.

Początkowo Bareja chciał, by w Anioła wcielił się Krzysztof Kowalewski (odmówił, twierdząc, że rola jest... cieniutka), Ludwik Pak (nakręcono z nim już nawet kilka scen) lub Stanisław Tym, lecz drugi reżyser Andrzej Swat optował za obsadzeniem w tej roli Romana Wilhelmiego (Swat podziwiał jego grę w „Karierze Nikodema Dyzmy"). Będąc przy Paku trzeba dodać, że Bareja typował go również do roli Balcerka (ostatecznie został nim Witold Pyrkosz), jednak plan ten pokrzyżowała choroba alkoholowa aktora.

Plejada gwiazd, robot i striptizerka

Blok, który widzimy w serialu, znajduje się przy ulicy Grzegorzewskiej 3 w Warszawie, ale ujęcia jego wnętrz powstawały już w hali zdjęciowej. Jednak nadszedł 13 grudnia 1981 roku i atelier stało się jednostką zmilitaryzowaną. Pracę trzeba było przerwać. Mimo że ekipa powróciła na plan już w 1982 roku (pod ostrą kontrolą władz), to pojawił się kolejny problem - trzeba było ubłagać „Solidarność" o pozwolenie na zwolnienie aktorów z bojkotu telewizji. Udało się. Dzięki temu w „Alternatywach 4" widzimy całą plejadę gwiazd ówczesnego srebrnego (i nie tylko) ekranu; prócz Wilhelmiego mamy tutaj: Bożenę Dykiel, Kazimierza Kaczora, Halinę Kowalską, Jerzego Turka, Mieczysława Voita, Janusza Gajosa, Wiesława Gołasa, Jerzego Kryszaka i wielu innych. W roli czarnoskórego doktoranta Harvardu Lincolna reżyser obsadził pokrytego ciemną substancją Ryszarda Raduszewskiego. Zaś w robota kolejkowego Ewy-1 wcieliła się Wanda Kozera-Hyży, aktorka teatru pantomimy Studia Kineo.

- Słyszałem, że scenarzyści wymyślili motyw z robotem kolejkowym przypadkowo. Przeczytali jakąś informację w prasie o facecie, który na Ursynowie zbudował w czteropokojowym mieszkaniu w bloku samolot, tylko nie był go w stanie stamtąd wynieść. Wpadli na pomysł wprowadzenia do serialu wynalazcy robota stojącego w kolejkach bardziej potrzebnego w ówczesnym codziennym życiu - mówił Jerzy Bończak na łamach „Faktu", czyli serialowy wynalazca Manc. Dodajmy, że jego sympatię Ewę, która była grana przez Hannę Bieniuszewicz, raz zastąpiła dublerka.

- W scenie, kręconej w restauracji Kongresowa w Pałacu Kultury, miałam dublerkę, Mariolkę. Była profesjonalną striptizerką, która opracowywała ze mną ten taniec, a przy okazji się zakumplowałyśmy. W serialu miałam tańczyć do rozchylenia się sukienki, zrobić obrót i od tego momentu miał być widoczny szeroki plan, a w nim - już tylko Mariolka. Niestety, sukienka spadła. Zostałam w samych majteczkach, z nagimi piersiami. Widownia konała ze śmiechu na widok piszczącej, wstydliwej striptizerki - śmiała się aktorka.

Bareja w na swój sposób odwdzięczył się „Solidarności", wplatając sprytnie zawoalowane aluzje i żarty polityczne. Przykład? Mający konszachty z opozycją profesor Dąb-Rozwadowski mówi w pewnym momencie do słuchawki: „Adam, spokojnie, nie jąkaj się, co się stało?".

Kolaudacja serialu nastąpiła jeszcze pod koniec 1982 roku, lecz jej wynikiem była długa lista z rzeczami do poprawki (bądź wyrzucenia).

Cenzura i lewe kasety

Decydentom nie przypadła do gustu scena, w której towarzysz Winnicki opowiada kawał o parówce w d...., nie spodobało się także zakładanie podsłuchu u profesora czy (niesławny) klub lokatora. Cenzorów uwierał też moment, w którym Winnicki daje sąsiadom wykład o sposobach manipulacji przy użyciu mediów, ponadto chciano, by Bareja dodał... zakończenie z morałem.

Co ciekawe, nie doszukano się faktu, że postacie grane przez Wiesława Gołasa i Mieczysława Voita podczas swoich dysput rozmawiają o zbrodni katyńskiej czy niechlubnej roli Armii Czerwonej w powstaniu warszawskim.

Koniec końców batalia z cenzorami trwała aż do jesieni 1986 roku, gdy wyemitowano pierwszy odcinek.

Wcześniej jednak serial krążył w podziemnym obiegu na kasetach VHS, skopiowany po cichu przez pracowników telewizji, co paradoksalnie ponoć przyspieszyło decyzję o oficjalnej emisji.

Po premierze, jak to często bywało z produkcjami Stanisława Barei, na głowę reżysera posypały się gromy. Że słaba konstrukcja fabuły, że chaotyczny montaż, że brak spójności itd. Nie przeszkadzało to w świetnym odbiorze serialu przez widzów - oglądalność sięgała 75 procent.

Niesławną kartą w historii serialu jest... jego kontynuacja, nosząca tytuł „Dylematu 5", której pierwszy odcinek nadano 1 maja 2007 roku. Reżyserem miał być Wojciech Smarzowski, ostatecznie został nim Grzegorz Warchoł (w oryginalnych „Alternatywach 4" grał redaktora). Występuje tu wielu aktorów znanych z oryginału, lecz serial zebrał tak złe recenzje i miał do tego stopnia drugcący odbiór, że zakończono jego emisję na zaledwie trzech odcinkach.

„Alternatywy 4" tak naprawdę doceniono po przełomie ustrojowym, a serial z czasem zyskał status kultowego. 13 września 2014 roku cykl ponownie zagościł w telewizji, tym razem w wersji zrekonstruowanej cyfrowo i uzupełnionej o usunięte przez cenzurę sceny, które odnaleziono w archiwach Telewizji Polskiej. Dzięki temu produkcja może nadal pełnić rolę swoistej kroniki tamtych, nie tak bardzo przecież szarych, czasów.

eprasa.pl e3d9949b34

REKLAMA
0011534094

1/2 LITRA PIWA ZAWIERA 25 GRAMÓW

SPRZEDAŻ ALKOHOLU OSOBOM DO



eprasa.pl e3d9949b34

REKLAMA

0011534096

CZYSTEGO ALKOHOLU ETYLOWEGO

LAT 18 JEST PRZESTĘPSTWEM



eprasa.pl e3d9949b34

Polska
Poniedziałek, 22.06.2026

AKORDEON ZOSTANIE ZE MNĄ JUŻ NA ZAWSZE

Pochodzący z Zarębek na Podkarpaciu Michał Stochel nie wierzy w „najlepszego młodego muzyka Europy", choć właśnie ten tytuł zdobył

Marlena Bogdan-Marut



FOT. BARBARA GALAS

Michał Stochel uznawany jest za jeden z największych talentów swojego pokolenia. Naukę gry na akordeonie rozpoczął w wieku siedmiu lat, a jego umiejętności były wielokrotnie nagradzane na krajowych i międzynarodowych konkursach muzycznych. Jest absolwentem Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. Artura Malawskiego w Przemyślu. W 2026 roku zdobył tytuł Młodego Muzyka Roku oraz zwyciężył w Konkursie Eurowizji dla Młodych Muzyków, stając się pierwszym akordeonistą w historii tego konkursu, który sięgnął po główną nagrodę.

Kilka dni po zwycięstwie w Konkursie Eurowizji dla Młodych Muzyków siedziałeś na egzaminie wstępnym do Akademii Muzycznej. Jak wraca się do codzienności po takim sukcesie?
(śmiech) Rzeczywiście, czasu na świętowanie nie było zbyt wiele. Zaraz po konkursie wróciłem do codziennych obowiązków. Były egzaminy, koncerty i kolejne zobowiązania. Oczywiście mam nadzieję, że przyjdzie też moment na odpoczynek, ale na razie staram się korzystać z tego, co się dzieje wokół mnie.

Pamiętasz moment ogłoszenia wyników?
Bardzo dobrze. To był przede wszystkim ogromny szok. Kiedy usłyszałem werdykt, przez chwilę nie mogłem uwierzyć, że chodzi właśnie o mnie. Towarzyszyły mi niedowierzanie, ekscytacja i wielkie szczęście. To jeden z tych momentów, które zostają z człowiekiem na całe życie.

Jak brzmi dla ciebie określenie „najlepszy młody muzyk Europy"?
Szczerze mówiąc trochę dziwnie. Nie wierzę w coś takiego jak „najlepszy młody muzyk Europy". Zawsze znajdzie się ktoś, kto potrafi coś zrobić lepiej. Wolę mówić po prostu, że wygrałem ten konkurs. Sam fakt, że mogłem reprezentować Polskę na Eurowizji dla Młodych Muzyków, był dla mnie ogromnym zaszczytem.

Publiczność widzi na scenie kilka minut perfekcyjnego występu. Nie widzi lat pracy, które stoją za tym momentem. Kiedy stałeś na eurowizyjnej scenie, pomyślałeś sobie: „warto było"?
Zdecydowanie tak. To, co widać na scenie, jest tylko niewielką częścią całego procesu. Za tym stoją lata budowania techniki, muzykalności i doświadczenia scenicznego. Kiedy usłyszałem, że wygrałem, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że było warto.

Pamiętam cię jako ośmioletniego chłopca. Występowałeś wtedy w „Mam Talent", a akordeon był niemal twojego wzrostu. Od tego czasu minęło dziesięć lat. Skąd wiedziałeś, że właśnie ten instrument będzie twoją drogą?
Wiedziałem właściwie od początku. Oczywiście były trudniejsze momenty, jak w każdej nauce, ale nigdy nie miałem chwili zwątpienia, podczas której chciałbym zamienić go na inny instrument. Akordeon zostanie ze mną już na zawsze.

Podobno wszystko zaczęło się od przypadkowego spotkania z ulicznym muzykiem.
Tak było. Miałem siedem lat. Byłem z rodziną na wycieczce w Sandomierzu i zobaczyłem mężczyznę grającego na ulicy. Pamiętam, że dosłownie nie mogłem oderwać wzroku od akordeonu. Coś mnie w nim zachwyciło, choć do dziś nie potrafię dokładnie powiedzieć co. Często żartuję, że to nie ja wybrałem akordeon, tylko akordeon wybrał mnie.

Twój instrument waży około 17 kilogramów i kosztuje około 140 tys. złotych. Za co płaci się takie pieniądze?
Przede wszystkim za jakość wykonania i brzmienie. Profesjonalne akordeony są robione ręcznie we Włoszech, głównie w Castelfidardo, które jest światową stolicą tego instrumentu. To niezwykle precyzyjna praca. Wszystkie elementy muszą być idealnie dopasowane. Nawet stroiki są ręcznie przygotowywane i montowane. Zdarza się, że muzycy czekają na zamówiony instrument ponad dwa lata.

Liczyłeś kiedyś, ile godzin spędziłeś na ćwiczeniach?
Nie da się tego policzyć. To są lata codziennej, systematycznej pracy. Muzyka wymaga regularności. Nie wystarczy ćwiczyć dużo przez tydzień, a potem zrobić sobie miesiąc przerwy.

Sukces ma swoją cenę?
Największą ceną jest brak czasu. To chyba problem większości muzyków. Albo się ćwiczy i ma się mniej czasu na inne rzeczy, albo ma się czas, ale wtedy nie rozwija się tak szybko. Bywały momenty, kiedy było mi z tym trudno. Wiedziałem, że ta praca kiedyś przyniesie efekty, ale czasami brakowało czasu na zwykłe życie. Dziś większość moich znajomych to muzycy. Oni również mają podobny tryb życia i podobne problemy, dlatego staramy się jak najlepiej wykorzystywać każdą wolną chwilę.

Jesteś perfekcjonistą?
W muzyce na pewno tak. Tylko że perfekcji właściwie nie da się osiągnąć. Zawsze można coś zrobić lepiej. Z jednej strony to bywa frustrujące, ale z drugiej właśnie dzięki temu człowiek się rozwija.

Co robisz, kiedy nie grasz?
Interesuję się zabytkową motoryzacją, szczególnie motocyklami.

Czyli przechodzisz od akordeonu do warsztatu?
Dokładnie. Restauruję stare motocykle. Staram się doprowadzić je do stanu, w jakim opuszczały fabrykę. To wymaga cierpliwości i dokładności. Dzięki temu mogę na chwilę oderwać się od muzyki i skupić na czymś innym.

Patrząc na ciebie, trudno uwierzyć, że poza salą koncertową jesteś po prostu zwykłym 18-latkiem. Akordeon nie jest instrumentem, który kojarzy się z pokoleniem TikToka. Korzystasz z mediów społecznościowych?
Oczywiście. Czasem oglądam TikToka czy przeglądam różne treści, jak większość ludzi w moim wieku.

Zamierzasz wykorzystywać je do promowania swojej działalności?
Myślę, że mogą w tym pomóc. Szczególnie jeśli chodzi o informowanie o koncertach czy różnych wydarzeniach. Staram się takie rzeczy publikować i udostępniać.

Grasz wyłącznie muzykę klasyczną?
Nie. Akordeon jest niezwykle wszechstronnym instrumentem. Można na nim wykonywać muzykę klasyczną, transkrypcje utworów fortepianowych, organowych czy nawet orkiestrowych. Jest też obecny w muzyce improwizowanej. Czasami siadam i po prostu improwizuję, gram to, co przychodzi mi do głowy.

Myślisz o komponowaniu albo nagraniu własnej płyty?
Na razie nie jestem przekonany, czy komponowanie jest moją drogą. A płytę chciałbym kiedyś nagrać, ale to jeszcze nie jest odpowiedni moment. Wciąż jestem na etapie nauki i rozwoju.

W ramach nagrody w przyszłym roku będziesz koncertował z Narodową Orkiestrą Armenii. Cieszysz się na tę współpracę?
Bardzo. Moje doświadczenie w grze z orkiestrą nie jest jeszcze duże. To zupełnie inny rodzaj muzykowania niż występ solowy. Bardzo mi się spodobał i chciałbym rozwijać się również w tym kierunku.

Sukces cię nie zmienił?
Po co miałbym się zmieniać? Nie zamierzam udawać kogoś, kim nie jestem. Oczywiście zwycięstwo bardzo mnie cieszy i jest dla mnie niezwykle ważne, ale nadal jestem tym samym człowiekiem.

Akordeon nadal daje ci radość?
I to ogromną. Ciągle odkrywam w nim coś nowego. To właśnie sprawia, że wciąż chce mi się pracować.

Podczas przemówienia po zwycięstwie zwróciłeś się do młodych muzyków. Co im powiedziałeś?
Powiedziałem, żeby nigdy się nie poddawali i zawsze dążyli do wyznaczonego celu. Wiem, że brzmi to trochę jak slogan, ale naprawdę w to wierzę. Jeśli człowiek wyznaczy sobie cel i konsekwentnie do niego zmierza, ma dużą szansę go osiągnąć. Trzeba po prostu robić kolejny krok i nie zatrzymywać się po pierwszej przeszkodzie. ©℗

eprasa.pl e3d9949b34

Konflikt wawelski, czyli nocne wędrówki trumny

Wojenki religijno-polityczne nie są specjalnością tylko naszych czasów. Wydarzenia z nocy z 23 na 24 czerwca 1937 r. to dowód, że toczyły się w najlepsze także w schyłkowej II RP

Mariusz Grabowski

To wtedy abp Adam Sapieha, ówczesny gospodarz katedry na Wawelu, przeniósł trumnę Józefa Piłsudskiego z krypty św. Leonarda do krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów. Na reakcję pułkowników nie trzeba było długo czekać.

Ziuk na Wawelu

Konflikt zaczął się 12 maja 1935 r., gdy w Belwederze na raka wątroby zmarł Marszałek Józef Piłsudski. Dla rządzących Polską sanatorów było jasne, że zostanie pochowany na Wawelu. Zwłaszcza że Piłsudski zapisał w swym testamencie: „Nie wiem, czy nie zechcą mnie pochować na Wawelu. Niech! Niech tylko moje serce wtedy zamknięte schowają w Wilnie, gdzie leżą moi żołnierze, co w kwietniu 1919 roku mnie jako wodzowi Wilno jako prezent pod nogi rzucili".

Sprawa była nadzwyczaj delikatnej natury i angażowała wszystkie ośrodki decyzyjne. Abp Sapieha wyraził zgodę na pochówek już 13 maja, podczas rozmów z gen. Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim. Miał jednak pewne wątpliwości natury kanonicznej, które wyjawił w rozmowie telefonicznej z metropolitą warszawskim kard. Aleksandrem Kakowskim. Z kolei prezydent Ignacy Mościcki był gorącym zwolennikiem złożenia ciała Piłsudskiego na Wawelu.

Wedle opinii przysłanej z Watykanu obowiązujący wówczas Kodeks Prawa Kanonicznego pozwalał na chowanie w obrębie kościoła jedynie rezydujących biskupów, opatów, prałatów, biskupów rzymskich, kardynałów i tzw. „personae regales", zaliczając do ostatniej grupy także głowy państw. Jako że Piłsudski formalnie nie podpadał pod żadną z tych kategorii, była konieczna dyspensa papieska. Uzyskano ją wszakże bez trudu.

Ostatecznie srebrno-szklaną trumnę z ciałem marszałka ubranym w błękitny mundur złożono w krypcie św. Leonarda 18 maja 1935 r. To wtedy prezydent Mościcki wygłosił patetyczne słowa: „Cieniom królewskim przybył towarzysz wiecznego snu. Skroń jego nie okala korona, a dłoń nie dzierży berła. A królem był serc i władcą doli naszej".

Abp. Sapieha, jak później wyjaśniał wielokrotnie, traktował kryptę św. Leonarda jako miejsce tymczasowe. Wskazywał, że ze względu na niewielką powierzchnię krypta nie jest w stanie sprostać oczekiwaniom osób, które chciałyby odwiedzać trumnę marszałka, a przewidywał, że będą ich tłumy. Poza tym obawiał się, że sprawa pochówku Piłsudskiego na Wawelu zostanie wykorzystana politycznie. W korespondencji z gen. Wieniawą-Długoszowskim jesienią 1935 r. kard. Sapieha namawiał do zmiany dotychczasowej lokalizacji trumny - najpierw optował za budową odrębnego mauzoleum w bezpośredniej bliskości katedry, a następnie sugerował przeniesienie szczątków marszałka pod Wieżę Srebrnych Dzwonów. Nie było odpowiedzi, na kilka lat zapadła cisza. Do dnia 23 czerwca, gdy Felicjan Sławoj Składkowski demonstracyjnie złożył dymisję swojego rządu, która zresztą nie została jednak przyjęta przez prezydenta. Oficjalnym powodem był „przeciągający się konflikt wawelski".

Nocne intrygi

Czy dymisja gabinetu Składkowskiego miała wpływ na decyzję abpa Sapiehy? Wątpliwe, choć oba zdarzenia miały miejsce w przeciągu kilkunastu godzin. By przenieść trumnę hierarcha użył sprytnego fortelu. Oto 30 czerwca 1937 r. zaplanowana była na Wawelu wizyta króla Rumunii Karola II. Jako schizmatyk - uzasadniał Sapieha - nie mógł on przejść przez katedrę, a chciał oddać hołd zmarłemu Piłsudskiemu. Do wieży Srebrnych Dzwonów można było za to wejść z zewnątrz.

Zatem tydzień wcześniej, w nocy z 23 na 24 czerwca, na polecenie abpa przeniesiono trumnę Józefa Piłsudskiego z krypty Świętego Leonarda pod Wieżę Srebrnych Dzwonów. Odbyło się to, oczywiście, bez zgody władz państwowych, w obecności jedynie kilku duchownych, w tym proboszcza katedry ks. kan. Stanisława Domasika, który podpisał stosowny protokół.



FOT. NAC

Warta u trumny marszałka Józefa Piłsudskiego w krypcie pod Wieżą Srebrnych Dzwonów na Wawelu

„Niesłychane stanowisko metropolity krakowskiego" - napisała na pierwszej stronie „Gazeta Lwowska" 25 czerwca. Między władzą a duchowieństwem rozpoczął się „konflikt wawelski", czyli protesty społeczeństwa, polityków oraz wojska. W jego szczytowym momencie postulowano odebranie abp. Sapiesze odznaczeń państwowych, a nawet wyłączenie Wawelu spod jego jurysdykcji.

Był to klasyczny spór światopoglądowy. Z jednej strony stanął wysoki duchowny broniący swoich racji, z drugiej socjalizujący liberałowie w mundurach i z kultem wodza. W niczym nie pomógł list wysłany przez Sapiehę do prezydenta Ignacego Mościckiego, uzasadniający decyzję o przeniesieniu trumny.

„Bardzo mi przykro, że ja muszę bronić właściwej czci zwłok Pana Marszałka Józefa Piłsudskiego. W obecnej chwili są one w nieposzanowaniu z powodu wilgoci panującej w krypcie św. Leonarda. Nowa krypta jest sucha... (...) Ze względu też na katedrę, która jest skarbem narodu całego, utrzymanie dzisiejszego stanu rzeczy jest niemożliwe, a coraz nowe pomysły i projekty nakazują zrobić to bezzwłocznie" - pisał.

Spowodował jedynie oskarżenie hierarchy o obrazę głowy państwa, żądania zmiany konkordatu, oddania katedry wawelskiej we władanie władz państwowych, pozbawienia Sapiehy odznaczeń honorowych, obywatelstwa polskiego, a nawet usunięcia z kraju czy osadzenia w Berezie Kartuskiej. Później władze państwowe kilkakrotnie interweniowały u nuncjusza apostolskiego w Polsce Filippa Cortesiego oraz w Sekretariacie Stanu Stolicy Apostolskiej, domagając się jakiejś formy ukarania Sapiehy.

Wielu doszukuje się w tak ostrych atakach sanacyjnej niechęci do osoby krakowskiego hierarchy. Nie bez powodu - np. po dokonanym przez Józefa Piłsudskiego przewrocie majowym to właśnie abp Sapieha stał się krytykiem poczynań pułkowników, potępiając m.in. więzienie w twierdzy brzeskiej oponentów politycznych.

Piłsudczycy stosowali metody znane nam i dzisiaj: apele, deklaracje poparte oficerskim honorem, artykuły w prasie. I oczywiście demonstracje uliczne: tylko w tej pod Pałacem Saskim 25 czerwca 1937 r. zebrało się ponad 20 tys. ludzi. A wszystko na wysokim poziomie emocjonalnego wzburzenia, a przy okazji poczucia wyższościowego. Piłsudczycy twierdzili np., że doszło do profanacji - trumnę w dniu pogrzebu, przed dwoma laty, nieśli na ramionach najwyżsi oficerowie Wojska Polskiego. A teraz, pod osłoną nocy, przenieśli ją zwykli robotnicy.

W czasie jednej z manifestacji Pałac Arcybiskupi przy Franciszkańskiej obrzucono kamieniami oraz spalono kukłę przedstawiającą Sapiehę. Sięgnięto też po argument prawny - hierarchę oskarżano go o naruszenie kultu Marszałka, a więc obrazę Rzeczypospolitej. To ostatnie na wyrost, bowiem ustawę o ochronie imienia Józefa Piłsudskiego, Pierwszego Marszałka Polski Sejm uchwalił dopiero rok później, 7 kwietnia 1938 r. W zastępstwie krakowski duchowny miał obrazić osobę prezydenta.

Nie pomogły kolejne dwa listy, które abp Sapieha wystosował do Mościckiego. W drugim, datowanym na 11 lipca pisał, że jego celem nie była obraza „Godności Pana Prezydenta". Przyznał, że mimo konfliktu wciąż pozostaje w „należnym i niezmiennym oddaniu" w stosunku do niego.

Wyciszenie

Ostatecznie wojnę o trumnę wygrał abp Sapieha. Już na początku lipca 1937 r. zapowiadało się przesilenie. 9 lipca katowicka „Polonia" pisała: „W kołach parlamentarnych mówią, że w końcu przyszłego tygodnia nastąpi zwołanie dwóch sesyj nadzwyczajnych Sejmu i Senatu: jednej z dniem 18 bm. dla załatwienia zatargu wawelskiego, drugiej dla spraw śląskich z dniem 20 bm. Ogólnie przypuszczają, że do tego czasu zatarg o kryptę marsz. Piłsudskiego będzie zlikwidowany i że w czasie sesji rząd złoży jedynie jakąś deklarację w tej sprawie".

Rządzący Polską sanatorzy zdali sobie najwyraźniej sprawę, że wojna z przedstawicielem Kościoła, o którym wiadomo było, że cierpi z powodu ciężkiego zapalenia płuc, źle wygląda od strony wizerunkowej. Konflikt zakończył się formalnie po posiedzeniu Sejmu, na którym ogłoszono, że „11 lipca 1937 r. abp krakowski przeprosił prezydenta". Ale jeszcze na tej samej sesji wicemarszałek Sejmu Tadeusz Schaetzel grzmiał, że od „przesunięcia tej trumny zatrzęsła się Polska".

Zakończenie zwiastowało zamknięcie sporów o pochówki na Wawelu. W sierpniu w nocie dyplomatycznej Watykan stwierdzał, że groby w kaplicy królewskiej na Wawelu są nienaruszalne, a wszelkie zmiany w tej kwestii zależą od porozumienia między metropolitą krakowskim a prezydentem Polski.

Trumnę ze szklano-srebrnej zamieniono na metalową i w niej, na kamiennym podeście, marszałek Józef Piłsudski spoczywa do dzisiaj.

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl e3d9949b34

pod PARAGRAFEM

WSPOMNIENIE

Pamiętajcie o Macdonaldzie
11 lipca przypada 43. rocznica śmierci Rossa Macdonalda (urodził się 13 grudnia 1915 r.), amerykańskiego pisarza, autora powieści kryminalnych typu noir; twórcy postaci prywatnego detektywa Lew Archera. Na kanwie powieści Macdonalda powstały: „Ruchomy cel" („Harper") w 1966 r. oraz „Zdradliwa toń" („The Drowning Pool") w 1975 r. Archera grał w nich Paul Newman.

ZA TYDZIEŃ

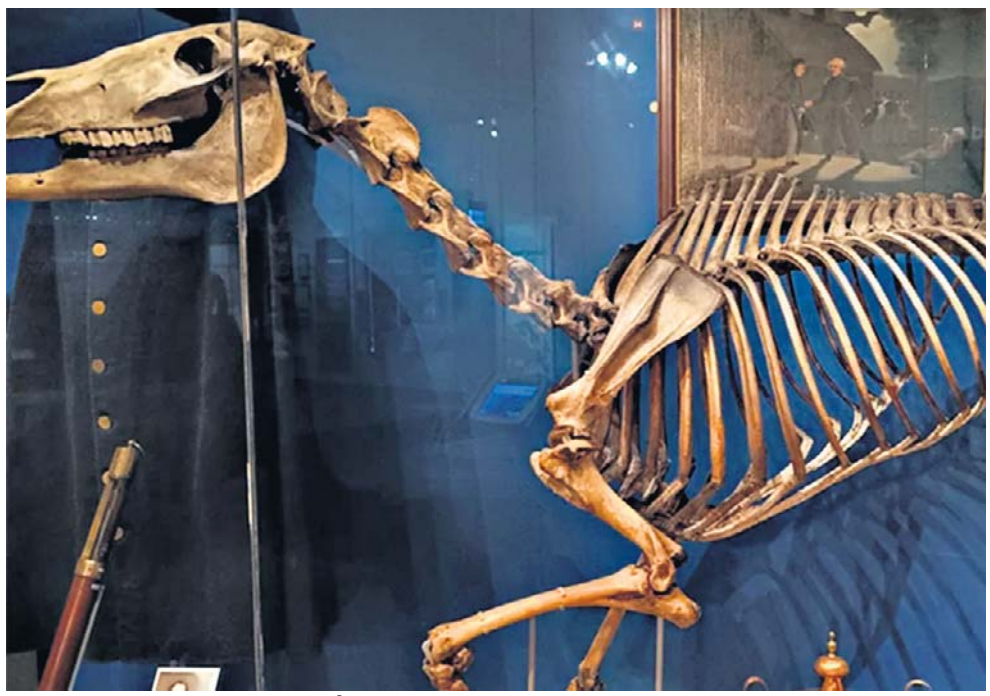
Warszawskie luksusy elit komunizmu
Mieszkania, domy, limuzyny i sklepy „za żółtymi firankami". Przedstawiciele ludu pracującego mieli dryg do wystawnego pańskiego życia.



Remanenty napoleońskie: co zostało po Cesarzu Francuzów?

Mariusz Grabowski, pisk
redakcja@polskatimes.pl

Prócz rewolucji, prawodawstwa, idei nowoczesnej armii i dumy z Austerlitz, Napoleon pozostawił także sporo przyziemnych pamiątek. Oto niektóre z nich:



Gdy cesarz został zesłany na Świętą Helenę, jego wierzchowiec Marengo, siwy ogier arabski, trafił do Anglii jako budzące uciechę trofeum wojenne. Tam też zdechł w 1831 r.

Szkielet Marengo

Doczesne szczątki ukochanego konia Napoleona to jeden z cenniejszych eksponatów w National Army Museum w Londynie. Anglicy pałają dziwną fascynacją do resztek wierzchowca, który towarzyszył Cesarzowi podczas wielu bitew - to właśnie na nim Napoleon przekracza Alpy w scenie znanej z obrazu Davida. Marengo skończył swój wojenny żywot pod Waterloo, a potem dożywał w Anglii. Co ciekawe, dziś roszczą sobie doń pretensje także radni z irlandzkiej miejscowości Cork.

Cesarski bikorn

Legendarne nakrycie głowy Napoleona tułało się po świecie, aż w 2014 r. kupił je w podparyskim Fontainebleau tajemniczy kolekcjoner z Korei Południowej za - bagatela - 1 mln 884 tys. euro. Cesarskie nakrycie głowy, uszyte w firmie Poupard, było najczęściej używanym z 19 zachowanych charakterystycznych „pierogów", które znajdowały się w cesarskiej garderobie. Prócz kapelusza zlicytowano także gustowny szal z czerwonej tkaniny madras, którym chronił głowę na Wyspie Św. Heleny, a także jego batystową koszulę.

Ulubiony trunek

Cesarz zwykł pić na co dzień Chambertina, jeden zaledwie rodzaj czerwonego burgunda z Chambertin, który zawsze spożywał w tej samej ilości rozcieńczając wodą. To właśnie wino oraz sposób jego spożycia polecić mu mieli słynny lekarz Jean-Nicolas Corvisart oraz chemik Claude Louis Berthollet. Dziś marka korzysta z napoleońskiej legendy, posiada status AOC i uprawiane jest na powierzchni blisko 434 ha w gminie Gevrey-Chambertin oraz Brochon, położonych w północnej części podokręgu Côte de Nuits. Uwaga: wbrew legendzie Napoleon nie przepadał za szampanem (patrz: Oranżeria w Paryżu).

Kufer z Korsyki

Na strychu starego domu w górach w północnej części Korsyki, czyli tam, gdzie przyszły Cesarz Francuzów przyszedł na świat, odkryto w 2014 r. podniszczony drewniany kufer. Były w nim pamiątki z czasów zesłania cesarza Francji na Wyspę Św. Heleny, które przywiózł na Korsykę jego wierny sługa i po których później ślad zaginął. Wśród unikatowych eksponatów znajduje się m.in. laska z kości słoniowej, z którą Napoleon Bonaparte przechadzał się po wyspie oraz kosmyk jego kasztanowych włosów. Pukiel, przebadany w różnych laboratoriach, potwierdzały podwyższone, nawet 65-krotne stężenie arsenu, co sugeruje, że Cesarz został otruty.

Paryska Oranżeria

Napoleon nie przepadał za szampanem, ale czasem go popijał. „Jeśli wygrywasz bitwę to zasługujesz na szampana, jeśli przegrywasz, zwyczajnie go potrzebujesz" - mawiał. Jean-Rémy Moët, słynny wytwórca szampana, kupił Napoleonowi dwa okazałe pawilony w Paryżu, zwane dziś Oranżerią (Le Trianon) i szczodrze wyposażył w wytworzone przez siebie alkohole. Napoleon i Józefina mieszkali w Oranżerii kilkakrotnie, traktując ją jako miejsce romantycznych schadzek. Budowla stała się miejscem inspirującym także kolejne pokolenia. Ponoć tu, w 1858 r., Ryszard Wagner wymyślił „Tristana i Izoldę".

„Clisson et Eugénie"

Prócz wszystkich swoich pasji Cesarz parał się również pisarstwem, a właściwie nowelistyką. Jego dziełko „Clisson et Eugénie" zostało napisane w 1975 r., kiedy Napoleon był jeszcze na początku swojej kariery wojskowej. Bohaterem jest Clisson, młody francuski oficer, który męczony wojaczką decyduje się opuścić posterunek i udać do łaźni. Tam poznaje dwie młode kobiety. Jedną z nich jest Eugenia. Ponoć historia oparta została na doświadczeniach młodego Napoleona, a konkretnie na jego romansie z Eugénie Bernardine Clary, przyszłą żoną Karola XIV Jana, króla Szwecji i Norwegii. „Clisson i Eugenia" składa się z zaledwie dwudziestu kilku stron i jak na francuskie romanse jest mało pikantna.

Mechaniczne biurko

Tzw. biurko mechaniczne z Compiègne, wykonane przez Françoisa-Honore Jacoba Desmaltera, a zaprojektowane ponoć przez samego Napoleona, to mebel z automatycznie cofającym się górnym blatem. Cesarz-wynalazca zamawiał do swoich pałaców całe serie tego modelu, które różniły się między sobą jedynie ornamentami bądź obrysem nóg. Do kompletu jest zielony fotel gondolowy, przypominający bardziej tron niż siedzisko do pracy. Na tym meblu, z charakterystycznym oparciem, cesarz siadywał podczas audiencji.

Empire

Autorski styl zapoczątkowany przez Napoleona miał gloryfikować potęgę cesarstwa i wielkość imperatora. Stąd też wśród odwołań antycznych, sięgających cesarstwa rzymskiego, tak silnie wyróżniają się inicjał „N" otoczony wieńcem laurowym oraz orły cesarskie. Starożytny rodowód mają również sfinksy czy gryfy, znamienne dla stylu cesarstwa jako wyraz egiptomanii, która zdominowała nurt po wyprawie władcy do Egiptu. Pszczoły na cesarskich tapicerkach mebli bądź wzorach pokrywających ceramikę, są z kolei symbolem pracowitości i boskości. Powtarzający się w sztuce empire'u motyw łabędzia odzwierciedla z kolei zamiłowania cesarzowej Józefiny.

Kolumna Vendôme

Stojąca w I Dzielnicy Paryża Kolumna Vendôme to oficjalnie Kolumna Wielkiej Armii. Inspiracją dla niej była antyczna Kolumna Trajana, stojąca na rzymskim Forum dla upamiętnienia zwycięstw cesarza nad Dakami. Jej paryska odpowiedniczka w całości odlana jest z brązu, jedynie do budowy bazy wykorzystano porfir. Wznosi się na wysokość 44 m, mając 3 m w obwodzie. Jej elementy dekoracyjne odlano ze zdobytych na Rosjanach i Austriakach armat w bitwie pod Austerlitz.

Wizerunki

Cesarz uwielbiał się portretować. Jego najsłynniejszy wizerunek to płótno Françoisa Pascala Simona Gérarda „Napoleon I w stroju koronacyjnym", wystawione w Château de Fontainebleau. Obraz powstał w 1805 r., jest niewielki jak na gust epoki - ma wymiary 225x147 cm, ale wedle historyków sztuki był ulubionym przez Napoleona. Lubił też swój skromniejszy, tzw. gabinetowy portret pędzla Jacquesa-Louisa Davida z 1812 r. Widać na nim zegar wskazujący nocną porę, o której Pierwszy Obywatel Imperium przykładnie pracuje dla dobra rodaków. Co ciekawe, obraz „Napoleon przekraczający Przełęcz Świętego Bernarda", namalowany przez Davida, Cesarza nie pociągał.

Grób Cesarza

Miejsce ostatniego spoczynku Napoleona to monumentalny Kościół Inwalidów, wzniesiony w 1706 r. przez Jules'a Hardouin-Mansarta na polecenie Ludwika XIV. Zmarły w 1821 r. Cesarz spoczął w sarkofagu, jego ciało zostało zabalsamowane i zamknięte w sześciu trumnach (jedna z cyny, druga z mahoniu, trzecia i czwarta z ołowiu, piąta z hebanu, a ostatnia z fińskiego, czerwonego porfiru). Ceremonia pogrzebowa odbyła się dopiero 2 kwietnia 1861 r., gdy krypta i sarkofag były gotowe.

Zamek do włosów

Cesarz znany był ze swoich idiosynkrazji związanych z fizycznością. Niebywałą wagę przywiązywał m.in. do pielęgnacji owłosienia. Pozostały po nim zamek do włosów, skomplikowane cacko z epoki, sprzedano w 1996 r. na aukcji w Londynie za 3680 funtów. Zamek do włosów pogromcy Napoleona - księcia Wellingtona poszedł zaledwie za 598 funtów. Tu niewielkie polonicum: napoleoński włos długości 50 mm jest atrakcją prywatnego Muzeum Wojsk Napoleońskich w XVIII-wiecznym dworze w Witaszycach.

Dwa pistolety

W lipcu 2024 r. na aukcji we Francji sprzedano dwa pistolety Napoleona za oszałamiające 1,69 mln euro. Domy aukcyjne Osenat i Rossini nie ujawniły tożsamości nabywcy, ale zapewniły, że cenne artefakty nie opuszczą Francji. Pistolety są bogato zdobione i inkrustowane złotem oraz srebrem. Przedstawiają wygrawerowany wizerunek Napoleona. W 1814 r., po klęsce, za pomocą tej broni chciał zakończyć swoje życie. Zamiast tego zażył truciznę, ale zwymiotowawszy przeżył. Pistolety oddał swojemu giermkowi.

Longwood House

Napoleon na zesłaniu mieszkał i zmarł w tzw. Longwood House na Wyspie Św. Heleny. Tam przyjmował też rzadkich gości. Longwood nie było zaopatrzone w wodę bieżącą, przez ściany letniego domu często przeciskał się wiatr, a wszędzie buszowały szczury. Po śmierci Cesarza pochowano go w tzw. Dolinie Geranium, w grobie pozbawionym wszelkich inskrypcji - brytyjski gubernator Hudson Lowe nie zgodził się też na płytę nagrobną z napisem „Napoleon".

eprasa.pl e3d9949b34













FOT. GRZEGORZ WAJDA Z HOUSTON

W MUNDIALOWYM OBIEKTYWIE GRZEGORZA WAJDY. Pomarańczowi rządzili w Houston - Holendrzy całkowicie zdeklasowali Szwedów, czyli pogromców naszej reprezentacji w barażach o mundial, wbijając Kristofferowi Nordfeldtowi aż pięć bramek. Do siatki trafiali po dwa razy Brian Brobbey i Cody Gakpo oraz Crysencio Summerville

Piłka nożna Pięć kolejnych bramek, ale w innym kierunku. Szwedzi ponieśli druzgocącą porażkę z Holandią

Houston, mamy problem! Strach pomyśleć, co by zrobili z Polską?

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Szwecja, która w barażach o mundial wyeliminowała Polskę 3:2 i rozpoczęła turniej od zwycięstwa 5:1 nad Tunezją, poległa w drugim meczu z Holandią 1:5.

Pięć dni po imponującym zwycięstwie nad Tunezją Szwecja poniosła druzgocącą porażkę z Holandią takim samym wynikiem.

Mecz odbył się w Houston, gdzie wcześniej wydano ostrzeżenie przed burzą, ale dzięki zadaszeniu stadionu drużyny grały w komfortowych warunkach. Początek spotkania był zniechęcający dla Szwedów. Holendrzy od pierwszych minut rozpętali serię ataków, grając szybko, spójnie i agresywnie. Do 17. minuty Pomarańczowi strzelili dwa gole - oba autorstwa Briana Brobbeya.

Po stracie dwóch bramek Skandynawom udało się odzyskać opanowanie i inicjatywę. Zaczęli dominować w posiadaniu piłki, aktywniej atakować i stwarzać groźne sytuacje pod bramką przeciwnika. W tym momencie mecz się wyrównał i wydawało się, że Szwedzi są w stanie odwrócić losy meczu. Szczególnie wyróżniał się Viktor Gyökeres, który trzykrotnie w pierwszej połowie znalazł się w idealnej sytuacji strzeleckiej. Jednak niezawodny Bart Verbruggen blokował każdy strzał. Jego pewne parady uniemożliwiły Niebiesko-Żółtym zmniejszenie strat i utrzymanie ciekawego przebiegu meczu.

W drugiej połowie Holandia wróciła do gry z impetem i już kilka minut po przerwie objęła miażdżące prowadzenie. Cody Gakpo strzelił dwa gole i stało się jasne, że Szwecja praktycznie nie miała już żadnych szans. Dwa szybkie gole całkowicie przybiły drużynę Grahama Pottera.

Szwedzi jednak się nie poddali. Starając się uniknąć druzgocącej porażki, zwiększyli presję na bramkę Holandii i zdołali strzelić gola. Anthony Elanga, który wszedł na boisko jako rezerwowy, trafił do siatki zaledwie trzy minuty po wejściu na boisko. Ten gol dał szwedzkim kibicom nadzieję, że drużyna będzie walczyć, ale niestety tak się nie stało. Niebiesko-Żółci kontynuowali ataki, szukając okazji do zmniejszenia straty, ale ich grze brakowało precyzji i opanowania.

W 89. minucie napięcie w końcu opadło. Crysencio Summerville dopieścił zwycięstwo, strzelając piątego gola Szwecji. Ta bramka przypieczętowała przekonującą wygraną Oranje i podkreśliła różnicę w umiejętnościach między drużynami. Holandia odniosła swoje najwyższe zwycięstwo na mistrzostwach świata od 2014 roku, kiedy to rozbiła Hiszpanię również 5:1 w fazie grupowej.

Szwecja została pierwszą drużyną od 1986 roku, która strzeliła i straciła co najmniej 5 goli w dwóch różnych meczach mundialu. Wówczas to Dania zaliczyła podobną „zmianę wyniku" (6:1 z Urugwajem, ale 1:5 z Hiszpanią).

Selekcjoner Szwedów Anglik Potter wyraził głębokie rozczarowanie ostatecznym rezultatem. Zauważył trudności w szczegółowej analizie meczu, podkreślając, że jego zawodnicy w wielu sytuacjach grali poprawnie: agresywnie atakowali i stwarzali okazje bramkowe. Trener przyznał jednak, że przy tak wielu straconych bramkach nie można było oczekiwać pozytywnego wyniku. Według Pottera, zespół z pewnością przeanalizuje popełnione błędy i wyciągnie odpowiednie wnioski: - Oczywiście, jesteśmy bardzo rozczarowani. Trudno analizować mecz - wiele rzeczy zrobiliśmy dobrze: atakowaliśmy, stworzyliśmy sytuacje, ale przy tak wielu straconych golach nie możemy oczekiwać zwycięstwa. Wyciągniemy ze spotkania wiele ważnych wniosków - stwierdził trener Niebiesko-Żółtych.

Szwedzkie media określiły wynik „koszmarem w Houston". „Zostaliśmy upokorzeni i pożarci przez bezwzględnych, pokazowo wręcz grających Holendrów" - skomentował dziennik „Aftonbladet".

Gazeta „Expressen" uznała potyczkę z Holandią za „tragiczny koszmar" i zwróciła uwagę, że przed pierwszym gwizdkiem sędziego chyba nikt w Szwecji nie myślał o takim wyniku.

„To była historyczna i publiczna kaźń naszej reprezentacji, która została zjedzona żywcem i na oczach całego nie tylko piłkarskiego świata ośmieszona" - skonkludował „Expressen".

To najwyższa porażka Szwecji w mistrzostwach świata od 76 lat, kiedy w 1950 roku w Brazylii uległa gospodarzom 1:7

Kanał szwedzkiej telewizji publicznej SVT ocenił, że był to nie tyle zimny, co wręcz lodowaty prysznic w gorącym Houston, a szwedzki zespół był jak sparaliżowany.

„W pierwszym meczu zmiażdżyliśmy Tunezję 5:1, lecz teraz Holendrzy zaaplikowali nam dokładnie to samo lekarstwo . To najwyższa porażka Szwecji w mistrzostwach świata od 76 lat, kiedy w 1950 roku w Brazylii uległa gospodarzom 1:7" - przypomniano.

Imponujące zwycięstwo pozwoliło Pomarańczowym przywrócić swoją pozycję faworyta grupy F i pretendenta do czołowej pozycji w mistrzostwach. Szwecja po zwycięstwie Japonii nad Tunezją 4:0 w Monterrey spadła na trzecie miejsce w grupie i stała się znacznie mniej pewna awansu do fazy pucharowej. W ostatniej rundzie fazy grupowej Szwecja zmierzy się z Japonią w decydującym meczu. Będzie to szansa Skandynawów na odwrócenie ich losu i walkę o wyjście z grupy. „Kluczowy będzie ostatni mecz grupowy z Japonią, tylko jak można myśleć pozytywnie po tak strasznym występie?" - konkludował „Aftonbladet".

Holandia zagra z Tunezją. Oba mecze odbędą się 26 czerwca o godzinie 1:00 czasu środkowoeuropejskiego.©℗

eprasa.pl e3d9949b34

Curaçao przechodzi do historii

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Urodzony w holenderskim Nijmegen, bramkarz piłkarskiej reprezentacji Curaçao - Eloy Room przeszedł do historii mistrzostw świata. W meczu z Ekwadorem obronił 15 strzałów.**



FOT. PAP/EPA

Bez wątpienia bramkarz reprezentacji Curaçao - Eloy Room może liczyć na nowe propozycje zatrudnienia

Na „Arrowhead Stadium" w Kansas City , w stanie Missouri - obiekcie używanym na co dzień do rozgrywania meczów futbolu amerykańskiego, debiutująca w imprezie reprezentacja egzotycznego Curaçao wywalczyła pierwszy punkt na mundialu.

To zresztą najmniejszy kraj, który kiedykolwiek awansował na mundial. Wyspa położona na Morzu Karaibskim należy do Królestwa Niderlandów. Ma powierzchnię 444 km kwadratowych (nieco większe niż Kampinoski Park Narodowy) i zamieszkuje ją nieco ponad 150 000 osób.

Reprezentacja prowadzona jest przez znanego Holendra - Dicka Advocaata (niegdyś szkoleniowca m.in. reprezentacji Holandii, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Korei Płd., Belgii, Rosji, Serbii i Iraku), najstarszego trenera w historii mistrzostw świata. W dniu meczu z Ekwadorem miał dokładnie 78 lat i 266 dni.

Wróćmy jednak do wyczynów bramkarza piłkarskiej reprezentacji Curaçao - Eloya Rooma. Otóż w zremisowanym 0:0 meczu z Ekwadorem obronił aż 15 strzałów, co jest rekordem turnieju (od czasu prowadzenia statystyk), nie licząc spotkań z dogrywkami.

Uchodzący za faworytów piłkarze Ekwadoru uderzali 27 razy na bramkę, z czego aż 15 razy celnie, ale nie byli w stanie pokonać 37-letniego goalkeepera drużyny Miami FC, występującej w rozgrywkach USL Championship (II liga).

Jak podała agencja Reutera, tyle obronionych uderzeń to rekord mistrzostw świata, jeśli chodzi o mecze 90-minutowe.

Lepszy łączny wynik - 16 udanych interwencji - osiągnął w 2014 roku Amerykanin Tim Howard w spotkaniu z Belgią, ale licząc z dogrywką. To był mecz 1/8 finału, a piłkarze USA przegrali wówczas 1:2.

Z kolei agencja Associated Press zaznaczyła, że liczba obronionych strzałów oficjalnie figuruje w mundialowych statystykach od 1966 roku.

Spotkanie w Kansas City miało też polski akcent. W gronie arbitrów VAR (jako „support VAR") pracował tego dnia Tomasz Kwiatkowski.

Ponadto w podstawowym składzie reprezentacji Ekwadoru wystąpił John Yeboah, były piłkarz m.in. Śląska Wrocław i Rakowa Częstochowa.

Warto wrócić jeszcze do kwestii szkoleniowych. Otóż wspomniany holenderski trener reprezentacji Curaçao - Advocaat śrubuje swój rekord w klasyfikacji najstarszych trenerów w historii piłkarskich mistrzostw świata.

Sześć dni przed meczem z Ekwadorem, w konfrontacji z Niemcami, został w wieku 78 lat i 260 dni najstarszym szkoleniowcem w historii mundialu.

Wcześniej przez kilka dni rekordzistą był Czech Miroslav Koubek, który poprowadził swoją rodzimą kadrę w pierwszym starciu w grupie A (z Koreą Południową), mając 74 lata i 283 dni.

Najmłodszym trenerem w turnieju finałowym mistrzostw świata był Włoch Felipe Pascucci, który w 1934 roku prowadził Argentynę. W spotkaniu 1/8 finału ze Szwecją (2:3) liczył zaledwie 26 lat i 337 dni.

W meczu z Wybrzeżem Kości Słoniowej niemiecki bramkarz Manuel Neuer po raz 21. wyszedł na boisko w meczu piłkarskich mistrzostw świata. Żaden bramkarz nie ma na koncie tylu mundialowych występów. 20 zgromadził Francuz Hugo Lloris.

Rekordzistą pod względem rozegranych meczów na mundialach jest Lionel Messi. Pierwsze spotkanie Argentyny na MŚ'26, z Algierią (3:0), było jego 27. A będzie miał jeszcze okazję śrubować ten wynik. W czołówce tego zestawienia znajduje się dwóch Polaków - Władysław Żmuda, który zaliczył 21 gier, oraz mający o jeden mecz mniej Grzegorz Lato.

Pomysłowością wykazał się rolnik z Bangladeszu. Amjad Hossain w wyjątkowy sposób okazał miłość do reprezentacji Niemiec. Z okazji mundialu przygotował flagę o długości... 7,5 km w kolorach czarnym, czerwonym i złotym.

Pierwsza czerwona kartka za... zasłanianie ust

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Miguel Almiron zakrył usta, mówiąc coś do tureckiego zawodnika. Zgodnie z nowymi przepisami, paragwajski gwiazdor został natychmiast wyrzucony z boiska.**

Miguel Almiron zapisał się w historii mistrzostw świata w niefortunny sposób, stając się pierwszym piłkarzem, który otrzymał czerwoną kartkę za zasłanianie ust podczas mówienia.

Do tego incydentu doszło w doliczonym czasie gry pierwszej połowy meczu Paragwaju z Turcją w Santa Clara w Kalifornii. Sędzia Ivan Arcides Barton Cisneros z Salwadoru wyrzucił paragwajską gwiazdę z boiska po analizie nagrania VAR.

Incydent rozpoczął się od faulu na Isidro Pitta z Paragwaju, co doprowadziło do spięcia między zawodnikami obu drużyn. W napiętej sytuacji Almiron zakrył usta dłonią i powiedział coś do Merta Müldera z Turcji.

Nie było żadnych przesłanek ani dowodów na to, że Almiron użył obraźliwego języka. Niemniej jednak napastnik otrzymał czerwoną kartkę i z pewnością opuści ostatni mecz fazy grupowej z Australią.

Kara dla Almirona była wynikiem niedawnych zmian wprowadzonych przez Międzynarodową Radę Piłkarską (IFAB), organ regulacyjny. Zgodnie z nowymi przepisami, każde zakrycie ust podczas kłótni lub konfrontacji z przeciwnikiem będzie karane czerwoną kartką. Ta zasada „żelaznej pięści" została wprowadzona, aby całkowicie wyeliminować zwyczaj zakrywania ust w celu znieważenia, używania języka rasistowskiego lub prowokacyjnego na boisku, aby uniknąć kamer telewizyjnych i ekspertów od czytania z ruchu warg.©℗



FOT. EPA/PAP

Moment, w którym sędzia Ivan Arcides Barton Cisneros pokazuje czerwoną kartkę Miguelowi Almironowi

Piłkarskie mistrzostwa świata w statystykach. Tabele, punkty, gole, strzelcy

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Mistrzostwa świata w USA, Meksyku i Kanadzie nabierają rozpędu. Znamy już pierwsze zespoły, które awansowały do 1/16 finału oraz ekipy, które po fazie grupowej pojadą do domu.**

GRUPA A

Wyniki: Meksyk - Republika Południowej Afryki 2-0 (Quinones 9, Jimenez 67),
Korea Południowa - Czechy 2:1 (Hwang In-Beom 67, Oh Hyeon-Gyu 80 - Krejci 59),
Czechy - Republika Południowej Afryki 1:1 (Sadilek 6 - Mokoena 83),
Meksyk - Korea Południowa 1:0 (Romo 50).

1. Meksyk	2	6	3-0
2. Korea Południowa	2	3	2-2
3. Czechy	2	1	2-3
4. RPA	2	1	1-3

GRUPA B

Wyniki: Katar - Szwajcaria 1:1 (Muheim 90+4 - Embolo 17),
Kanada - Bośnia i Hercegowina 1:1 (Larin 78 - Lukić 21),
Szwajcaria - Bośnia i Hercegowina 4:1 (Manzambi 74, 90, Vargas 84, Xhaka 90+7 - Mahmić 90+3),
Kanada - Katar 6:0 (Larin 16, David 29, 45+3, 90+2, Saliba 64, Al Mannai 75 samob.).

1. Kanada	2	4	7-1
2. Szwajcaria	2	4	5-2
3. Bośnia i Hercegowina	2	1	2-5
4. Katar	2	1	1-7

GRUPA C

Wyniki: Brazylia - Maroko 1:1 (Vincius Junior 32 - Saibari 21),
Haiti - Szkocja 0:1 (McGinn 28),
Szkocja - Maroko 0:1 (Saibari 2),
Brazylia - Haiti 3:0 (Cunha 23, 36, Vincius Junior 45+3)

1. Brazylia	2	4	4-1
2. Maroko	2	4	2-1
3. Szkocja	2	3	1-1
4. Haiti	2	0	0-4

GRUPA D

Wyniki: USA - Paragwaj 4:1 (Bobadilla 7, Balogun 31, 45+3, Reyna 90+8 - Mauricio 73),
Australia - Turcja 2:0 (Irankunda 27, Matcalfe 75),
USA - Australia 2:0 (Burgess 11 sam., Freeman 43),
Turcja - Paragwaj 0:1 (Galarza 2).

1. USA	2	6	6-1
2. Australia	2	3	2-2
3. Paragwaj	2	3	2-4
4. Turcja	2	0	0-3

GRUPA E

Wyniki:
Niemcy - Curaçao 7 :1 (Nmecha 6, Schlotterbeck 38, Havertz 45+5, 88, Musiala 47, Brown 68, Undav 83 - Comenencia 21),
Wybrzeże Kości Słoniowej - Ekwador 1:0 (Diallo 90),
Niemcy - Wybrzeże Kości Słoniowej 2:1 (Undav 68, 90+4 - Kessie 30),
Ekwador - Curaçao 0:0.

1. Niemcy	2	6	9-2
2. WKS	2	3	2-2
3. Ekwador	2	1	0-1
4. Curaçao	1	1	1-7

GRUPA F

Wyniki: Holandia - Japonia 2:2 (van Dijk 51, Summerville 64 - Nakamura 57, Kamada 89),
Szwecja - Tunezja 5:1 (Ayari 7, 90+6, Isak 30, Gyokers 59, Svanberg 84 - Rekik 43),
Holandia - Szwecja 5:1 (Brobbey 5, 17, Gakpo 47, 54, Summerville 89 - Elanga 59).
Tunezja - Japonia 0:4 (Kamada 4, Ueda 31, 83, Ito 69).

1. Holandia	2	4	7-3
2. Japonia	2	4	6-2
3. Szwecja	2	3	6-6
4. Tunezja	2	0	1-9

GRUPA G

Wyniki: Belgia - Egipt 1:1 (Ashour - Hany 66 samobój),
Iran - Nowa Zelandia 2:2 (Just 7, 54 - Rezaeian 32, Mohebbi 64)

1. Nowa Zelandia	1	1	2-2
2. Iran	1	1	2-2
3. Belgia	1	1	1-1
4. Egipt	1	1	1-1

GRUPA H

Wyniki:
Hiszpania - Republika Zielonego Przylądka 0:0, Arabia Saudyjska - Urugwaj 1:1 (Al-Amri 41 - Araujo 80).

1. Arabia Saudyjska	1	1	1-1
2. Urugwaj	1	1	1-1
3. Hiszpania	1	1	0-0
4. Zielony Przylądek	1	1	0-0

GRUPA I

Wyniki: Francja - Senegal 3:1 (Mbappe 66, 96, Barcola 82 - Mbaye 95), **Irak - Norwegia 1:4** (Hussein 38 - Haaland 28, 42, Ostigard 75, Hussein 98 samobój)

1. Norwegia	1	3	4-1
2. Francja	1	3	3-1
3. Senegal	1	0	1-3
4. Irak	1	0	1-4

GRUPA J

Wyniki: Argentyna - Algieria 3:0 (Messi 16, 60, 75), **Austria - Jordania 3:1** (Schmid 21, Al-Arab 74 samobój, Arnautović 100 z karnego, Olwan 49).

1. Argentyna	1	3	3-0
2. Austria	1	3	3-1
3. Jordania	1	0	1-3
4. Algieria	1	0	0-3

GRUPA K

Wyniki: Portugalia - DR Konga 1:1 (Neves 6 - Wissa 45+5), **Uzbekistan - Kolumbia 1:3** (Fayzullaev 60 - Munoz 40, Diaz 65, Campaz 90+9).

1. Kolumbia	1	3	3-1
2. DR Konga	1	1	1-1
3. Portugalia	1	1	1-1
4. Uzbekistan	1	0	1-3

GRUPA L

Wyniki: Ghana - Panama 1:0 (Yirenkyi 90+5), **Anglia - Chorwacja 4:2** (Kane 12 z karnego, 42, Bellingham 47, Rashford 85 - Baturina 36, Musa 45+5).

1. Anglia	1	3	4-2
2. Ghana	1	3	1-0
3. Panama	1	0	0-1
4. Chorwacja	1	0	2-4

KLASYFIKACJA STRZELCÓW

3 gole
Leo Messi (Argentyna), Jonathan David (Kanada), Deniz Undav (Niemcy);

2 gole:
Johan Manzambi (Szwajcaria), Ismael Saibari (Maroko), Folarin Balogun (USA), Kai Havertz (Niemcy), Yasin Ayari (Szwecja), Ayase Ueda (Japonia), Crysencio Summerville (Holandia), Brian Brobbey (Holandia), Cody Gakpo (Holandia), Kai Havertz (Niemcy), Daichi Kamada (Japonia), Elijah Just (Nowa Zelandia), Erling Haaland (Norwegia), Kylian Mbappe (Francja), Harry Kane (Anglia), Matheus Cunha (Brazylia), Vincius Junior (Brazylia).
©℗

eprasa.pl e3d9949b34













FOT. AUTOR

Piłkarze Niemiec zapewnili sobie zwycięstwo nad Wybrzeżem Kości Słoniowej 2:1, a trener Julian Nagelsmann powiedział, że to była zasłużona wygrana. Z kolei selekcjoner Słoni Emerse Fae stwierdził, że jest sfrustrowany porażką, której przyczyną był - według niego - brak doświadczenia. Jak jednak dodał, jest dumny z walki, jaką pokazali jego zawodnicy

Piłka nożna Reprezentacja Wybrzeża Kości Słoniowej jest wielką nadzieją Afryki na mundialu, ale...

Zmarnowana niemiecka szansa Słoni. Była naprawdę olbrzymia

Jaromir Kruk z Toronto
specjalnie dla Polska Press

Przed spotkaniem z Wybrzeżem Kości Słoniowej Julian Nagelsmann, trener Niemców, przestrzegał przed szybkością rywala z Afryki.

W Toronto jego zespół wspierany przez około 30 tysięcy kibiców przegrywał do przerwy 0:1, ale w drugiej odsłonie na pomoc przyszedł mu Deniz Undav, snajper VfB Stuttgart i... nieskuteczność, a być może także nonszalancja Słoni.

Wybrzeże ma w swoich szeregach obecne i byłe gwiazdy europejskich boisk. Po 19-letniego Yana Diomande ustawia się kolejka chętnych gigantów. RB Lipsk, który wyłożył za niego Leganes 20 milionów euro jest pewny, że zarobi na sprzedaży minimum 90 milionów. To jeden z wielu atutów kadry Emerse Fae, jednej z nadziei Afryki na sukces w tym mundialu. Słonie nigdy wcześniej nie wyszły z grupy na mundialu, tym razem powinno być łatwiej, bo na powitanie z imprezą pokonały mocny Ekwador. Promocję do 1/16 finału uzyska aż 8 ekip z trzecich miejsc, a po spotkaniu z Niemcami podopieczni Fae zmierzą się z Curaçao.

- W spotkaniu z Ekwadorem Nicolas Pepe był praktycznie nie do zatrzymania - mówił Nagelsmann, który chyba nie spodziewał się, że piłkarz Villarrealu, a wcześniej między innymi Arsenalu pojawi się na murawie w Toronto dopiero w 85 minucie. To świadczy tylko o wyborze Fae, uwielbianego przez sympatyków Słoni.

W wyjściowej jedenastce na Niemców znaleźli się zawodnicy klubów kolejno: Caykur Rizespor, Galatasaray, Atalanta, Besiktas, Gil Vicente, Nottingham, Al-Ahli, Trabzonspor, Manchester United, Inter, RB Lipsk. Nazwy robią wrażenie, umiejętności techniczne poszczególnych piłkarzy także, ale w pierwszej części kolegów z ofensywy ze strzelenia gola wyręczył Franck Kessie, zarabiający gruby szmal w Arabii Saudyjskiej. Co jednak nie przeszkadza mu w przykładnym wypełnianiu reprezentacyjnych obowiązków, które sam nazywa zaszczytem. Były gracz AC Milan i Barcelony zademonstrował dobitkę w stylu rasowego snajpera i dał radość fanom WKS i neutralnej części widowni sympatyzującej z zespołem z Afryki.

Spotkanie wzbudziło bardzo duże zainteresowanie w Toronto, bilety w jego dniu były praktycznie nie do zdobycia. Pod BM Field zgromadziła się grupa chętnych do ich zakupu, za minimum 2000 dolarów, ale nie miał ich kto sprzedawać...

Sztab Wybrzeża Kości Słoniowej ucieszyła informacja o tym, że do Kanady ostatecznie będzie wpuszczony Elye Wahi, który wstępnie nie dostał pozwolenia wskutek podejrzenia o ustawianie meczów w Ligue 1. Zawodnika OGC Nice aresztowano 29 maja, lecz szybko został zwolniony i dostał wsparcie z różnych kręgów, także od federacji Słoni. Kanadyjczycy zapowiedzieli, że nie dostanie zgody na wjazd do Toronto, ale po interwencji prawników Wahi dostał pozwolenie. Nie oznaczało to, że z jednej z wyróżniających się postaci z konfrontacji z Ekwadorem skorzysta Emerse Fae. Selekcjoner WKS miał inny plan, może wziął też pod uwagę stresującą sytuację zawodnika OGC Nice przed wylotem do Kanady.

Na występ swojego podopiecznego z Suresnes na BM Field wybudowanym w 2007 roku na finały Mistrzostw Świata U-20 (w 1/8 finału zagrali tam Polacy z Argentyną) liczył Tomasz Bzymek, który może się poszczycić jeszcze jednym byłym zawodnikiem na najważniejszej tegorocznej imprezie globu - N'Golo Kante z Francji. Wahi nie zapomniał o swoim polskim szkoleniowcu, klubie z Suresnes i nawet ufundował 50 biletów dla młodzieży z miejsca, w którym startował w świecie futbolu. To nie pierwszy taki gest w jego wykonaniu.

- Elye to bardzo dobry chłopak, wdzięczny Suresnes. Wspiera nas jak tylko może, a my cieszymy się, że znalazł się w kadrze Wybrzeża Kości Słoniowej na mundial 2026. Urodził się we Francji, ale jego rodzice to Iworyjczycy, tata zmarł, jak był mały. Wahi grał w juniorskich i młodzieżowych kadrach dla Francuzów, ale gdy stworzyła się okazja reprezentowania ojczyzny rodziców, to z niej skorzystał, posiadając obywatelstwo WKS - mówi Tomasz Bzymek.

Już w swoim drugim spotkaniu dla Słoni Wahi przyczynił się do pokonania towarzysko... Francji, a w trzecim dołożył cegiełkę do zwycięstwa z Ekwadorem w Filadelfii na Lincoln Financial Field. Spełnił tego dnia marzenie, debiutując na mundialu. Kolejny bój kolegów, z Niemcami, obserwował z ławki. Długo wydawało się, że ekipa Fae, jeśli nie wygra, to przynajmniej zremisuje. Niestety dla Słoni, w doliczonym czasie nie udało się im założyć pułapki ofsajdowej, co wykorzystał Deniz Undav, bohater teamu Juliana Nagelsmanna.

Mecz wzbudził bardzo duże zainteresowanie w Toronto. Byli chętni do zakupu biletów za 2 tys. dolarów, ale nikt nie chciał sprzedawać...

- Wiedzieliśmy, że będzie to ciężki mecz. Wchodząc na boisko liczyłem, że zdobędę bramki, takie zawsze mam zadania. Jestem szczęśliwy, że mogłem pomóc, a gra w mundialu to coś wspaniałego. Trudno to nawet opisać. Dziękuję za wsparcie naszym kibicom, byli fantastyczni. Z tego co słyszałem zasiadło ich na stadionie 30 tysięcy. Czuliśmy ich wsparcie - powiedział po meczu Undav. Pochwalił go Manuel Neuer, bramkarz Niemców, chwali cały kraj. Niemcy znów mają drużynę z charakterem, team spirit, a to dużo daje w trudnych momentach.

W strefie wywiadów inaczej zachowali się zawodnicy WKS. Większość z nich przeszła ją w milczeniu, podopiecznym Fae nie chciało się opowiadać o zmarnowanej szansie, naprawdę olbrzymiej. Mundial wciąż trwa, a wielka nadzieja Afryki nadal może w nim odegrać poważną rolę. Potencjał ku temu niewątpliwie ma...©℗

eprasa.pl e3d9949b34

Najbardziej osobliwe Grand Prix w historii

Dawid Foltyniewicz
dawid.foltyniewicz@polskapress.pl

ŻUŻEL. **Bartosz Zmarzlik wygrał Grand Prix Polski minutę przed północą. Nad Wrocławiem przeszła potężna ulewa, przez którą zawody ruszyły z prawie trzygodzinnym opóźnieniem.**

Jeżeli ktoś z organizatorów wymarzył sobie, aby 300. turniej w historii Grand Prix okazał się niezapomnianym wydarzeniem, z przymrużeniem oka można powiedzieć, że jego życzenie się spełniło. Początek zawodów zaplanowano na godz. 19:00, ale ok. 50 minut wcześniej nad Wrocławiem rozpętała się potężna ulewa. Kibice momentami oglądali wręcz ścianę deszczu, która spadała na tor. Na domiar złego doszło do zalania parku maszyn. Studzienki kanalizacyjne nie zdołały przyjąć ogromnej ilości opadów, więc żużlowcy, mechanicy oraz reporterzy brodzili po kostki w wodzie - wielu z nich na bosaka.

Konia z rzędem temu, kto w takich okolicznościach postawiłby duże pieniądze na to, że turniej uda się przeprowadzić jeszcze tego samego dnia. - Phil Morris powiedział nam, że w całej historii Grand Prix przełożono tylko kilka rund i dziś nie będzie kolejnej takiej sytuacji - powiedział nam jeden z pracowników Sparty Wrocław.

Dyrektor cyklu okazał się słownym człowiekiem. Gdy tylko opady ustały, obsługa zaczęła zgarniać wodę miotłami, a na tor wyjechał ciężki sprzęt. Uczestnicy pierwszego biegu stanęli pod taśmą o 21:30, ale okazało się, że w wieżyczce sędziowskiej doszło do awarii prądu. Prezenter zawodów Jacek Dreczka zdążył już przekazać oficjalną decyzję o ruszaniu na sygnał zielonej flagi, ale gdy żużlowcy mieli ponowie stanąć na starcie... zasilanie wróciło. Jakby to powiedziała młodzież: „absolute cinema".

Rywalizacja rozpoczęła się na dobre o 21:50. Kibice obejrzeli dobre widowisko, ale niestety nie obyło się bez groźnie wyglądających upadków. W siódmym wyścigu Kacper Woryna zahaczył o Jasona Doyle'a, a ten o Jacka Holdera. Polak wyszedł z tego bez szwanku, ale obaj Australijczycy opuścili stadion



FOT. PAP/MACIEJ KULCZYŃSKI

Bartosz Zmarzlik świętował na podium ze swoimi synami: Antonim i Franciszkiem

w karetce. Stal Gorzów przekazała, że Holder złamał rękę. Czeka go operacja i kilka tygodni przerwy od startów. Doyle o własnych siłach wrócił do parku maszyn, ale w nim gorzej się poczuł. Służby medyczne założyły mu kołnierz ortopedyczny, na szczęście nie doszło do poważnego urazu.

Podobne zdarzenia omijały walczących o tytuł Brady'ego Kurtza i Bartosza Zmarzlika, którzy wywalczyli bezpośredni awans do finału. Dołączyli do nich Robert Lambert i Michael Jepsen Jensen, którzy wygrali biegi barażowe (odpadli w nich Patryk Dudek i Maciej Janowski).

Ostatnia gonitwa dnia to show jednego aktora. Zmarzlik najlepiej ruszył spod taśmy i pewnie pomknął po zwycięstwo - tym cenniejsze, że dzięki niemu odzyskał prowadzenie w klasyfikacji przejściowej cyklu. Sześciokrotny indywidualny mistrz świata na półmetku sezonu ma trzy punkty przewagi nad Kurtzem, który w finale we Wrocławiu był czwarty.

Kolejną rundę Grand Prix zaplanowano na 11 lipca w szwedzkiej Målilli. ©℗

GRAND PRIX POLSKI

Wyniki:
1. Bartosz Zmarzlik (Polska) - 14 (2,3,1,2,3,3) - 20 pkt GP; 2. Robert Lambert (Wielka Brytania) - 13+3 (2,2,1,3,3,2) - 18; 3. Michael Jepsen Jensen (Dania) - 10+3 (1,1,1,3,3,1) - 16; 4. Brady Kurtz (Australia) - 12 (1,3,2,3,3,0) - 14; 5. Anders Thomsen (Dania) - 11+2 (1,3,3,2,2) - 12; **6. Patryk Dudek (Polska) - 8+2 (3,0,2,1,2) - 11;** 7. Leon Madsen (Dania) - 11+1 (3,1,3,2,2) - 10; 8. Jan Kvech (Czechy) - 9+1 (2,1,2,3,1) - 9; 9. Andrzej Lebiediew (Łotwa) - 11+0 (3,2,3,1,2) - 8; **10. Maciej Janowski (Polska) - 6+0 (3,d,2,0,1) - 7;** 11. Max Fricke (Australia) - 6 (w,2,3,1,0) - 6; **12. Kacper Woryna (Polska) - 5 (0,2,0,2,1) - 5;** 13. Nazar Parnicki (Ukraina) - 3 (0,3,0,0,0) - 4; **14. Dominik Kubera (Polska) - 3 (1,0,0,1,1) - 3;** 15. Jason Doyle (Australia) - 2 (2,u/-,-,-,-) - 2; **16. Marcel Kowolik (Polska) - 2 (1,1,0,0) - 1; 17. Nikodem Mikołajczyk (Polska) - 0 (0,0,0,0) - 0;** 18. Jack Holder (Australia) - 0 (0,u/-,-,-,-) - 0.

Klasyfikacja przejściowa (TOP 15, po 5 z 10 rund): 1. Zmarzlik 82; 2. Kurtz 79; 3. Lambert 63; 4. Michael Jepsen Jensen 61; 5. Holder 55; 6. Fricke 50; **7. Woryna 49;** 8. Madsen 45; **9. Dudek 40;** 10. Doyle 39; 11. Lebiediew 32; 12. Thomsen 30; 13. Kvěch 27; **14. Kubera 20;** 15. Bewley 18.

Tajner wrócił do Polskiego Związku Narciarskiego. Co dalej z Adamem Małyszem?

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Apoloniusz Tajner został ponownie prezesem Polskiego Związku Narciarskiego. Jaki ma plan na zarządzanie? Rozmawiamy z Rafałem Kotem, członkiem zarządu PZN.

Apoloniusz Tajner był jedynym kandydatem, za jego wyborem optowało 75 spośród 81 delegatów, jedna osoba nie oddała głosu. Uzyskał zatem zdecydowaną większość.
Obyło się bez niespodzianek, wszystko przebiegło tak jak się spodziewaliśmy.

Co tuż po wyborze zadeklarował nowy - stary prezes?
Stwierdził, że zrobi wszystko, aby kluby, zawodnicy i okręgowe związki narciarskie miały większe wsparcie od Polskiego Związku Narciarskiego. I nie chodzi tutaj tylko o finanse, ale w ogóle o wsparcie, żebyśmy razem nasze zimowe dyscypliny dźwignęli do góry. Chcemy wrócić do lepszych czasów, zarówno jeśli chodzi o skoki narciarskie, ale też narciarstwo alpejskie. Prezes zapowiedział, że będzie chciał to środowisko alpejczyków skonsolidować, aby szkolenie, a co za tym idzie także wyniki były lepsze.

A co ze Szkołami Mistrzostwa Sportowego?
Prezes powiedział, że postara się, aby one były wylęgarnią naszych przyszłych mistrzów, obojętnie w jakiej dyscyplinie, a nie tylko przechowalnią dla uczniów.

Apoloniusz Tajner zadeklarował, że poprawią się także wyniki skoczków?
Absolutnie takie słowa nie padły. O wynikach nie rozmawialiśmy.

Zapowiedział też, że w 2027 roku nie będzie już kandydował w wyborach do Sejmu.
Tak, zamierza się skupić potem tylko na związku. W tym roku musi pogodzić obowiązki, ale zapowiedział również, że praca posła na Sejm nie będzie kolidowała z jego nowymi obowiązkami, bo wszystkie związane z parlamentem są zaplanowane do przodu już na cały rok.

Wybrano także nowy zarząd. W jego skład weszli: Mirosław Graf (przedstawiciel Dolnośląskiego Związku Narciarskiego), Wojciech Gumny (przedstawiciel Tatrzańskiego Związku Narciarskiego), Jarosław Konior (przedstawiciel Śląsko-Beskidzkiego Związku Narciarskiego), Rafał Kot, Marek Pach, Zbigniew Wuwer.
W większości znamy się bardzo dobrze i będziemy chcieli realizować wspólnie pomysły, które będziemy przedstawiać prezesowi. Nie spodziewam się w zarządzie jakichś zgrzytów.


FOT. PAP

Apoloniusz Tajner pracę prezesa Polskiego Związku Narciarskiego będzie łączył z obowiązkami posła

Jakie zmiany zapowiedział Tajner?
Prezes poinformował dotychczasowego sekretarza generalnego Tomasza Grzywacza, że nie będzie dalszej współpracy. Chyba tego się spodziewał, ale absolutnie nie rozstaliśmy się na ścieżce wojennej.

Kto zajmie jego miejsce?
Ogłoszony zostanie konkurs, ale jesteśmy za tym, aby nowym sekretarzem został Kuba Michalczuk. Od dłuższego już czasu pracuje w naszym związku. Zajmował się sprawami licencyjnymi, potem był szefem od spraw szkoleniowych. Będą też pewne zmiany w biurze i chcę powiedzieć, że ze związku odchodzi jeszcze jedna osoba. Na emeryturę odeszła Wanda Wojtas, nasz wieloletni zasłużony i wspaniały pracownik, która zajmowała się między innymi sekretariatem. Bardzo tego żałuję. To była najważniejsza osoba w Polskim Związku Narciarskim. Można z nią było wszystko załatwić, życzę jej na emeryturze wszystkiego najlepszego.

Adam Małysz wróci do PZN w jakiejś roli w najbliższym czasie?
Z całą mocą chcę podkreślić, że Adam robił, co mógł, ale to była dla niego ciężka praca i jakby z innej planety. Zderzył się z biurokracją i administracją. Deklaracji jednak żadnych nie składał. Powiedział, że chce w najbliższym czasie od tego wszystkiego odpocząć, zadbać o swoje zdrowie, bo sporo go dla związku w ostatnim czasie zostawił i jest trochę nadwyrężone. Zamierza spędzić też czas z rodziną, a później się zastanowi, czy w jakimś wymiarze mógłby się angażować, jeśli chodzi o polskie skoki.

Na początku maja pracę w Polsce rozpoczął Stefan Horngacher, który pełni funkcję koordynatora systemu szkolenia, ściśle współpracując z trenerami kadr narodowych. Jak układa się współpraca w pierwszym etapie?
Bardzo dobrze. Jest obecny na wszystkich zgrupowaniach, jak chociażby w Zakopanem, Szczyrku, czy w Hinterzarten. Między nim a trenerami kadry A i B, Maciejem Maciusiakiem i Wojciechem Toporem, jest bardzo dobra współpraca. Będziemy chcieli, aby się poświęcił takiej konsolidacji, doradztwu, aby przekazywał swoje eksperckie uwagi dotyczące treningu, techniki. Myślę, że wykorzystamy go do maksimum. Start tej współpracy wyszedł bardzo obiecująco, zadowoleni są trenerzy i skoczkowie.

Gdzie w najbliższym czasie będzie trenować pierwsza reprezentacja?
Ostatni tydzień spędzili w kraju, w poniedziałek wyjeżdżają do Planicy. ©℗

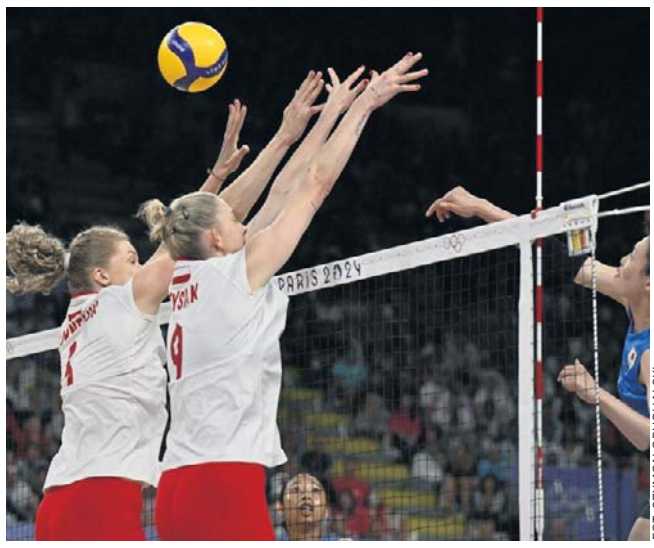
eprasa.pl e3d9949b34

Siatkówka Biało-Czerwone rozegrały drugi turniej Ligi Narodów

PANIE BARDZO BLISKO AWANSU

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Reprezentacja Polski siatkarek doznała drugiej porażki w tegorocznej edycji Ligi Narodów. Biało-Czerwone w ostatnim spotkaniu uległy Kanadyjkom 2:3.



FOT. SZYMON GRUCHALSKI

Reprezentacja Polski siatkarek w drugim turnieju Ligi Narodów na Filipinach przegrała tylko jeden mecz

Biało-Czerwone przed drugim turniejem na Filipinach legitymowały się znakomitym bilansem sześciu zwycięstw i jednej porażki, której doznały podczas pierwszego turnieju w chińskim Nankin z Chinkami 1:3. Podopieczne trenera Stefano Lavariniego, które w trzech ostatnich edycjach sięgały po brązowe medale, mimo drugiej porażki w całych rozgrywkach, są już blisko zakwalifikowania się do turnieju finałowego. Odbędzie się on w dniach 22-26 lipca w Makau. Awans wywalczy siedem najlepszych reprezentacji z fazy zasadniczej oraz Chiny jako gospodarz.

Emocjonujący tie-break

W ostatnim spotkaniu drugiego turnieju Ligi Narodów, który odbył się na Filipinach nasza kadra przegrała po niezwykle zaciętym boju z Kanadą 2:3 (23:25, 25:21, 16:25, 25:11, 13:15). Rozstrzygającą partię nieudanym zagraniem otworzyła Magdalena Stysiak, nasza atakująca szybko jednak naprawiła swój błąd i posłała piłkę w linię końcową boiska w kolejnej punktowej akcji naszego zespołu.

Przez dłuższy czas drużyny prowadziły bardzo wyrównaną walkę, zawzięcie walcząc o każde oczko, jednak stale to Kanadyjki były o punkt lepsze. W końcowej fazie tie-breaka rywalki nagle odskoczyły naszym siatkarkom na trzy oczka (11:8), zmuszając Stefano Lavariniego do wykorzystania przerwy, po której Biało-Czerwone ponownie nawiązały z reprezentantkami Kanady kontakt punktowy (13:12). Ostatecznie szczęście uśmiechnęło się jednak do Emily Maglio, która swoją zagrywką zakończyła spotkanie.

Wcześniej Polki pokonały Bułgarię 3:0, a także Ukrainę i Holandię po 3:1. Po ośmiu rozegranych spotkaniach Biało-Czerwone zajmują trzecie miejsce w tabeli z dorobkiem 17 punktów. Prowadzą reprezentantki Stanów Zjednoczonych z 20 punktami przed Brazylią, 19 punktów. Zawodniczki „Canarinhos" rozegrały jednak jak na razie siedem spotkań.

Kolejny turniej podopieczne Lavariniego zagrają w Osace w dniach 8-12 lipca. Reprezentantki Polski zmierzą się kolejno z Turczynkami, Amerykankami, Brazylijkami i gospodyniami (8, 9, 10 i 12 lipca). Kluczową imprezą tego roku dla reprezentacji Polski siatkarek są mistrzostwa Europy.

Siatkarze zagrają w Gliwicach

Tymczasem do kolejnego turnieju Ligi Narodów przygotowują się siatkarze reprezentacji Polski. Najbliższa tura odbędzie się w trzech miastach, w tym w Gliwicach, gdzie wszystkie spotkania rozegrają Biało-Czerwoni. Polacy na Śląsku będą rywalizować w dniach 24-28 czerwca. Zmierzą się z Belgią, Turcją, Niemcami i Argentyną. W pierwszym meczu 24 czerwca (początek 20:00) zmierzą się z Belgami.

W pierwszym turnieju, który odbył się w chińskim Linyi, polscy siatkarze pokonali Kubę 3:0 oraz Ukrainę 3:2, przegrali ze Słowenią i Japonią po 2:3. W tegorocznej edycji Ligi Narodów mężczyzn wystartowało osiemnaście reprezentacji. Każdą z nich zobaczymy w trzech turniejach fazy grupowej. Drużyny rywalizują o awans do finałów VNL 2026, które zostaną rozegrane od 29 lipca do 2 sierpnia w chińskim mieście Ningbo. Wystąpi w nim siedem najlepszych zespołów w tabeli oraz gospodarz. Po pierwszym turnieju prowadzi Brazylia 4 zwycięstwa przed Japonią 4 oraz USA 3. Polska jest siódma. ©℗

Polka z rekordem sezonu. Polak niestety zawstydził

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

W siódmym tegorocznym mityngu lekkoatletycznym zaliczanym do lukratywnego cyklu „Wanda Diamond League", który gościł w Doha, Natalia Bukowiecka była druga w biegu na 400 metrów.



FOT. KARIM JAAFAR/AFP/EAST NEWS

- Wynik taki sobie - stwierdziła Natalia Bukowiecka. - Byłam blisko złamania 50 sekund. Stać mnie na trochę więcej

Na stadionie „Qatar Sports Club" mistrzyni olimpijska w sztafecie mieszanej 4x400 metrów (2021), wicemistrzyni olimpijska w kobiecej sztafecie 4x400 metrów (2021) oraz brązowa medalistka olimpijska w biegu na 400 metrów (2024) uzyskała swój najlepszy czas w sezonie - 50.10.

Dziewięć dni wcześniej, w Oslo, była trzecia z wynikiem 50.34.

W Doha bezapelacyjnie najszybsza w biegu na dystansie jednego okrążenia była aktualna mistrzyni olimpijska - Marileidy Paulino z Dominikany, której na mecie zmierzono kapitalny czas 48.91! Trzecia była Kubanka Roxana Gomez - 50.23.

Co ciekawe, w tym sezonie Paulino biegała już na... 200 i 800 m, a także w sztafecie, a jedyny start na 400 metrów zanotowała w Moskwie na początku czerwca.

Drugi z reprezentantów Polski startujący w Katarze, Mateusz Kołodziejski, zajął w konkursie skoku wzwyż odległe, 8. miejsce z nieco kompromitującym wynikiem 2.16 m...

W poprzednich startach regularnie osiągał 2.20 m (najlepszy wynik to 2.24 uzyskany 16 czerwca w Ostrawie).

Wygrał Włoch Matteo Sioli - 2.29 m. Drugi był mistrz olimpijski z Tokio, Katarczyk (rodzice pochodzą z Sudanu) Mutazz Isa Barszim - 2.27 m, a trzeci Ukrainiec Ołeh Doroszczuk - 2.24 m.

Czwarte z rzędu zwycięstwo w biegu na 400 metrów przez płotki zanotowała Emma Zapletalová. Długonoga Słowaczka uzyskała 52.30, który jest najlepszym tegorocznym wynikiem na świecie.

Wielkie show zrobiła Kubanka Davisleydi Velazco, która wygrała konkurs trójskoku z imponującą „życiówką" - 15.13 m. Był to jej pierwszy skok na odległość ponad 15 metrów. To również pierwsza tak udana próba w tej konkurencji od 2023 roku i 15.35 m innej Kubanki Yulimar Rojas. ©℗

Iga Świątek w uzdrowisku

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Przed Igą Świątek dwa turnieje na trawiastych kortach - w Bad Homburg vor der Höhe i wielkoszlemowy Wimbledon. Rok temu nasza tenisistka grała w Niemczech w finale, a w Londynie - wygrała.

Do poprzedniego sezonu niewiele dobrego można było powiedzieć o grze Igi Świątek na trawie. Te trzy tygodnie na przełomie czerwca i lipca 2025 roku zmieniły jednak wszystko. Wimbledon był jej pierwszym w karierze turniejem wygranym na tej nawierzchni.

W 2019 roku, tuż po 18. urodzinach, próbowała sił w Birmingham, Eastbourne i Wimbledonie. W Eastbourne nie przebrnęła kwalifikacji, a w dwóch pozostałych imprezach odpadała w 1. rundzie.

Z powodu pandemii kolejny mecz na takiej nawierzchni rozegrała dopiero dwa lata później. Wówczas w Eastbourne dotarła do 2. rundy, natomiast w Wimbledonie zatrzymała się na 1/8 finału.

W trzech kolejnych latach, z powodu wielu sukcesów i tym samym rozegranych meczów wiosną na kortach ziemnych jeszcze tylko raz zdecydowała się na jakiś turniej poprzedzający Wimbledon.

W 2023 roku było to właśnie w Bad Homburg vor der Höhe. Wówczas w tym niemieckim uzdrowisku dotarła do półfinału, który oddała walkowerem. Do meczu z Włoszką Lucią Bronzetti nie przystąpiła z powodu zatrucia pokarmowego.

Natomiast starty w Wimbledonie w latach 2022-2024 kończyła na 3. rundzie, ćwierćfinale i ponownie 3. rundzie.

Teraz miała sporo czasu na odpoczynek i treningi, bo French Open zakończyła już na 1/8 finału. Ze stolicy Francji przeniosła się szlifować formę na Majorkę, a w miniony czwartek miała pierwsze zajęcia w Bad Homburg vor der Höhe.

W turnieju „Bad Homburg Open powered by Solarwatt" (pula nagród: 1206 446 dolarów) rozstawiona jest z numerem 1, gdyż z powodu problemów z biodrem wycofała się Kazaszka Jelena Rybakina. W 1. rundzie Polka ma tzw. wolny los. W kolejnej - we wtorek lub w środę - jej rywalką będzie albo Niemka Eva Lys albo Emma Navarro.

Na zwyciężczynię imprezy czeka 185 507 dolarów. ©℗

Nasi szermierze na medal

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

29-letni Wrocławianin Andrzej Rządkowski wicemistrzem Europy we florecie. W finale zawodów w Antony, ok. 12 km od Paryża, przegrał z Francuzem Rafaelem Savinem 10:15.

W miejscowej „Complexe Sportif Eric Tabarly" reprezentacja Polski wywalczyła jeszcze jeden medal - brązowy. Zdobywczynią została szpadzistka Alicja Klasik (w półfinale przegrała z Niemką Alexandrą Ehler 9:11).

Ostatnim polskim indywidualnym medalistą mistrzostw Europy był w 2004 roku Andrzej Witkowski, a do finału trzy lata wcześniej dotarł Adam Krzesiński, który w 1997 roku w Gdańsku jako jedyny z Biało-Czerwonych wywalczył złoto w tej konkurencji.

W sięgającej 1981 roku historii mistrzostw Europy polscy szermierze wywalczyli już 92 medale. Indywidualnie zdobyli ich 58, w tym 9 złotych, 11 srebrnych i 38 brązowych, a drużynowo - 34 (8-15-11).

Niestety, bez większych sukcesów zakończyli udział w zawodach Pucharu Świata nasi bokserzy, które zorganizowało chińskie Guiyang.

W sześciu pojedynkach półfinałowych najbliżej zwycięstwa była Elżbieta Wójcik (+80 kg), która przegrała z reprezentantką gospodarzy - Zhan Yilian 2:3.

Polka wróciła do sportu po przerwie macierzyńskiej. Wójcik przegrywała po dwóch rundach, a jej zryw w ostatniej odsłonie nie wystarczył do wygranej. Wszyscy sędziowie punktowali 29:28, ale trzech opowiedziało się za Chinką.

Pozostałe walki Biało-Czerwonych nie były już tak wyrównane. Jednogłośnych porażek doznały Angelika Krysztoforska (48 kg) z Farzoną Fozilovą z Uzbekistanu, Kinga Krówka (65 kg) z Angielką Sachą Hickey, Agata Kaczmarska (75 kg) z Kanadyjką Tammarą Thibeault oraz Emilia Koterska (80 kg) z Chinką Xiaomeng Wang.

Kaczmarska to ubiegłoroczna mistrzyni świata w wadze +80 kg. Od tego sezonu rywalizuje jednak w kategorii olimpijskiej 75 kg.

Mateusz Urban (75 kg) przegrał 1:4 z Rami Kiwanem. 26-letni Bułgar znany jest z występów w Polskiej Lidze Boksu. W ub. sezonie reprezentował Legię Warszawa, a w bieżącym jest zawodnikiem Pomorzanina Toruń. ©℗

eprasa.pl e3d9949b34

MAGAZYN SPORTOWY

Holendrzy wyciągnęli wnioski i w starciu ze Szwecją dali popis jakości oraz siły. Aż strach pomyśleć, co zrobiliby teraz z naszą drużyną **STR. 19**



FOT. GRZEGORZ WAJDA - HOUSTON

Wyjątkowy pokaz Pomarańczowych

ZMARZLIK WYGRAŁ WE WROCŁAWIU I ZNÓW PRZEWODZI W KLASYFIKACJI SGP **STR. 22**

Tajner już wprowadza nowe porządki w PZN. Horngacher skutecznie doradza selekcjonerom **STR. 22**

Prosto z mundialu. Niemcy brak jakości potrafią nadrobić charakterem **STR. 21**

eprasa.pl e3d9949b34